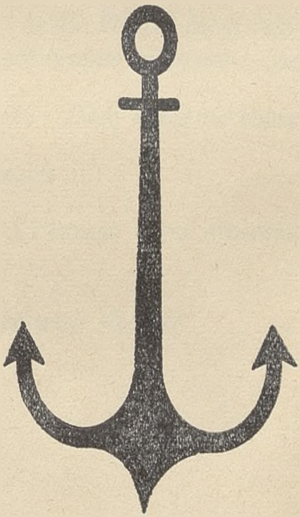
Nr. LIII Czerwiec 1937

NASZA PRZYSZŁOŚĆ



WYDAWCA i REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8. TELEFON 9.27-61

Druk. p. f. „LECH", Warszawa, ul. Koszykowa 33, tel. 8.90-66.

2

T R E Ś Ć.

Jak się u nas naprawdę zwalcza komunizm?

„Walka z bolszewizmem“, czy wogóle z komunizmem stała się u nas jak gdyby modą od pewnego czasu. Ogromnie wiele mówi się o tem i pisze, niemal tak wiele, jak o drugiej modzie: walce z żydostwem.

Opinja bowiem publiczna, a zwłaszcza różne w niej kierunki i ambicje, indywidualne czy zbiorowe, ulegają też kaprysom mody, dosłownie tak, jak krawcy i piękne panie w zakresie kroju toalet i stylu kapeluszy. Wszystko więc u nas — czy w Boga wierzy czy nie wierzy — pali od pewnego czasu ognie „walki z bolszewizmem“. Niestety — starosłowiańskim zwyczajem — tylko słomiane ognie!

Mnożą się więc zastępy pisarzy i działaczy „antykomunistycznych“, powstają, jak grzyby po deszczu, różne instytucje, zrzeszenia i zrzeszeńka dla „boju z bolszewizmem“. Ten i ów zdobywa sobie markę „wybitnego“ antybolszewickiego działacza. Dobrze. Ale, niech czytelnik wybaczy niemiłosierną i zgoła niedyplomatyczną i nietaktowną prawdomówność Naszej Przyszłości, jeżeli pozwolimy sobie bez ceremonji nazwać to wszystko po imieniu: modną komedją. I niech czytelnik Naszej Przyszłości zechce poczytać nam to za zbawienną dla tej sprawy zasługę — choć oczywiście wielce niepopularną — jeżeli stwierdzimy na tem miejscu, że całość tej polskiej, prywatnej „akcji antybolszewickiej“, to w ostatecznym erzultacie nic więcej, jak „plucie w ocean“, które stanowi z absolutną pewnością stały przedmiot do rozweselania czerwonych rządców moskiewskich wśród wielu poważnych trosk, jakie zasępiają dziś na serjo ich czoła.

Proszę wybaczyć Naszej Przyszłości, że tak wielce nietaktownie, ale w imię bezspornej prawdy i niezbędnego w tak groźnej sprawie realizmu, spełnia z nieugiętą konsekwencją swą rolę jako enfant terrible, oczywiście niezmiernie niewygodną dla wielu

rodaków. Ale skoro Nasza Przyszłość czytaną bywa bez żadnej wątpliwości także przez bolszewików rosyjskich, przez naszych krajowych komunistów i inne „obce agentury“ — i przez nich wszystkich z pewnością uważniej i z większem zrozumieniem, niż przez wielu motylkujących po codziennych geszeftach Polaków— niech więc ci bolszewicy, komuniści i obce agentury przekonają się przynajmniej z łamów naszego wydawnictwa, że istnieją jeszcze w Polsce ludzie, którzy trzeźwo i dokładnie patrzą na rzeczy.

Otóż przedewszystkiem, im więcej hałasu wyprawia u nas moda walki z komunizmem, im więcej ludzi chce się na tem polu wichtigmachować, tem mniejsze są tej akcji rezultaty, a tem większy bałagan i bezrozumna konkurencja.

Bo co jest najważniejszą, najbardziej rzucającą się w oczy cechą niemal wszystkich naszych antykomunistycznych instytucji, zrzeszeń i działaczy? To, że się wzajemnie nienawidzą, że niepodobna zebrać ich razem w jednym pokoju. Z nielicznymi wyjątkami traktuje jeden drugiego jak wroga, a już conajmniej jak wstrętnego dla siebie konkurenta. Żadne konkurujące o klijentelę fabryki mydła lub cudownej pasty do butów nie są względem siebie tak nieprzyjaźnie nastawione, jak niestety nasi protagoniści „przedmurza chrześcijaństwa przed zalewem wschodniego, czerwonego barbarzyństwa“. Gdyby ich wszystkich powiodło się komuś zebrać razem w jednym pokoju, to na uśmierzenie bójki, jakaby z tego wynikła, trzebaby chyba użyć mocnego prądu sikawek.

Powtóre paraliżuje wszystko ów osławiony zdawien dawna a jednak zawsze jeszcze niestety aktualny „polski bałagan“. Zacytuję przykład, z życia wzięty, który wyklucza zgóry wszelkie usprawiedliwienia i dyskusje.

A więc wśród płonących już nad nami dachów, w dobie kolosalnej a niesłychanie perfidnej penetracji bolszewizmu nawet — jak dobrze wiadomo z pewnych wypadków — w mury naszych seminarjów duchownych, zbiera się z trudem i mozołem nieliczna, wielu absencjami nadkruszona konferencja bojowników antykomunistycznych dla ustalenia wreszcie jakiegoś konkretnego programu zgodnego współdziałania tychże bojowników i reprezentowanych przez nich zrzeszeń antykomunistycznych celem osiągania zbiorową siłą skuteczniejszych rezultatów. Cel konferencji, jasno postawiony w drukowanych zaproszeniach, sprecyzowany zostaje na początku zebrania jędrnym referatem, nie da-

jącym dyskutantom chyba żadnego pola — zdawałoby się — do jakichkolwiek ubocznych, nierzeczowych, pozatematowych dywagacji.

To też wszędzie gdzieindziej, nie wyłączając posiedzeń Kominternu — i tam z pewnością najbardziej — dyskusja, tak dokładnie przygotowana i wdrożona, byłaby w każdym razie rzeczową, do tematu i dałaby jakieś rezultaty.

Inaczej w Polsce, wśród „bojowników przedmurza chrześcijaństwa“.

Zamiast wejść w sedno sprawy, a więc takiej czy innej organizacji walki z komunizmem, dyskusja — notabene wśród ludzi wysokiego intelektu — zbacza nagle a niespodziewanie, w całości swej, na metafizyczno-absurdalny temat: czy, dlaczego i o ile jesteśmy Polakami i jaka jest „wyższa idea polskiego twórczego rozumu“, jaka jest wogóle polska idea narodowa czy państwowa?!!

Osłupiały przewodniczący konferencji dowiaduje się, co następuje: Jeżeli mamy zwalczać komunizm, to musimy przedewszystkiem wiedzieć, w imię jakiej nadrzędnej, metafizycznej ideologji, narodowej czy państwowej, mamy to robić, a ponieważ takiej polskiej idei nie byli w stanie stworzyć nawet najwięksi nasi mistrze filozofji, myśliciele, poeci i inni pisarze, od Mickiewicza po dzień dzisiejszy, więc na razie nie da się nic zrobić na polu walki z komunizmem, ale trzeba odczekać najpierw (może i tysiąc lat, przyp. autora), aż zjawi się jakiś polski Mahomet, który tę ideę narodową ku ogólnemu zadowoleniu nareszcie sprecyzuje i uświadomi Polakom, czy wogóle, skąd, dlaczego i dla jakich celów są Polakami!!!

I proszę zważyć, że dyskusję taką wszczęli wcale nie zakonspirowani agenci Komiternu, którym by zależało na unicestwieniu praktycznych celów zebrania tak subtelną metodą metafizycznych dywagacji, ale niewątpliwie szczerzy patrjoci polscy, wiekiem dostatecznie dojrzali i bardzo wszechstronnie wykształceni!

A chociaż przewodniczący zebrania — i to zebrania, złożonego zaledwie z kilkunastu osób „elity umysłowej“ — usiłował dość stanowczo nawrócić zacietrzewionych ideologów do konkretnego tematu zagajonej dyskusji, to czcigodni dyskutanci mimo to z uporem, godnym zaiste lepszej sprawy, wracali ciągle do swych ultrafilozoficznych dywagacji. Oczywiście, dyskusja tego rodzaju musiała skończyć się na niczem, na miękkiej, iście

słowiańskiej gadaninie o „pryncypjach“ i przewodniczący musiał użyć całej siły woli, aby nie zerwać się z miejsca i nie huknąć za przykładem Maćka Dobrzyńskiego:

„Precz stąd! Bo jakem Maciek, was, do miljonów
Kroćset kroci tysięcy fur beczek, furgonów djabłów!!!“

A kto w ostatecznym rezultacie zyskał na takiem zebraniu— i to zebraniu nienagannych, aż nadto ideowych patrjotów polskich? Oczywiście komitern i bolszewizm wogóle. Bo przecież sprytny komitern, jak to już nieraz podnosiliśmy w tem wydawnictwie, zdaje sobie doskonale sprawę z wszelakich dróg i możliwości stopniowego osiągania swych celów, z których naczelny kulminuje praktycznie w ponownem i definitywnem podbiciu Polski przez Rosję. Otóż Komitern, poza działalnością specjalnych swych jaczejek, wcale nie może mieć i nie ma pretensji, aby patrjoci polscy szerzyli jawnie hasła bolszewickie czy prorosyjskie wogóle. Jemu na razie zupełnie wystarcza, jeżeli akcja antybolszewicka jest hamowana mózgami i rękami nieświadomych swej mimowolnej roli Polaków. Wszystko więc, co z jakichbądź względów paraliżuje w Polsce konsolidację i większy rozmach akcji antybolszewickiej, jest komiternowi i rządowi rosyjskiemu bardzo na rękę i przygotowuje czerwonej Moskwie korzystne podłoże dla bezpośredniej już akcji.

Dlatego też — z punktu widzenia nie świadomej woli, która może być najlepszą, ale praktycznych rezultatów — każdy Polak, przyczyniający się mniej lub więcej do unicestwienia antybolszewickiego zebrania zapomocą jakichś metafizycznych dywagacji poza konkretnie określonym i wyznaczonym tematem, leje wodę nieświadomie na młyn bolszewickiej doktryny i polityki i — wbrew swym najlepszym intencjom — staje się tem, co określiliśmy już odawna w Naszej Przyszłości pojęciem i mianem: pośredniego agenta Komiternu. Takim „pośrednim agentem“ bywa często najlepszy patrjota, najprzykładniejszy katolik, ba, nawet zapalony działacz antykomunistyczny, który jednk czemkolwiekbądź, a zwłaszcza swem prawdziwie polskim, anarchicznym indywidualizmem lub ubocznymi względami partyjno-politycznymi, czy wreszcie nadmierną skłonnością do bezproduktywnego teoretyzowania paraliżuje w praktyce dzieło silniejszego, racjonalniejszego skonsolidowania akcji przeciwbolszewickiej.

Taki Polak — a jest ich niestety zbyt wielu we wszystkich partjach, organizacjach i wyznaniach — jest w praktyce stokroć szkodliwszym od bezpośredniego agenta bolszewickiego, który

konspiruje gdzieś po zaułkach i przy okazji wychodzi jawnie na ulicę z okrzykami na cześć Sowietów i z czerwonym sztandarem, co wszystko budzi odrazę i likwidowane bywa szybko przez policję. Taki bezpośredni agent, to ów wyraźnie zadżumiony, podlegający energicznej izolacji ze strony władz państwowych i patrjotycznie myślącego społeczeństwa.

Natomiast „agent pośredni", choć sam nie choruje na komunistyczną dżumę, jest jednak jej mimowolnym roznosicielem. Sam prawi dokoła bardzo szczytne, patrjotyczne morały, ale udaremniając z najrozmaitszych względów i pretekstów wzmocnienie akcji antybolszewickiej od wewnątrz polskiego społeczeństwa, osłabia zdrowy polski organizm w zbolszewizowanej już i tak aż zanadto atmosferze, a więc robi właśnie to, czego Komitern na razie pragnie.

I dlatego, jak we wszystkich ważnych kwestjach krajowych, tak przedewszystkiem w tej dziedzinie prawdziwie skutecznego oporu przeciw bolszewickiej zarazie — stawiamy jasno i twardo sprawę:

1) Każdy Polak, który jakimbądź sposobem i z jakichbądź powodów utrudnia konsolidację i wzmocnienie akcji antybolszewickiej od wewnątrz — a więc spełnienie podstawowego postulatu uodpornienia ducha polskiego przeciw miazmatom komunistycznym, jest „pośrednim" szerzycielem bolszewizmu i zasługuje najpierw na wyraźne uświadomienie, a jeżeli to nie pomoże, to na bezwzględne napiętnowanie i baczną inwigilację ze strony nie tyle policji, ile przedewszystkiem dobrze myślącego społeczeństwa, a zwłaszcza swych własnych przyjaciół politycznych, zawodowych lub towarzyskich.

2) Precz z całą t. zw. filozofją, czy metafizyką „narodową" lub „państwowościową" w obecnych warunkach, gdy grożą nam wciąż jeszcze od zewnątrz żelazne kleszcze nimiecko-rosyjskie z dodatkiem sztyletów czeskich i kowieńskich, skierowanych wciąż na nas za podnietą Rosji, a gdy od wewnątrz przeżera nas coraz głębiej bezpośredni i „pośredni" bolszewizm wśród licznych naszych kłopotów mniejszościowych, wyznaniowych i gospodarczych!

W takiej sytuacji bawienie się w metafizykę narodową, a zwłaszcza uzależnianie od rozwiązania jej teoretycznych problemów rozpoczęcia energicznej walki z barbarzyńskim najazdem, jest — oczywiście nie w naiwnem swem założeniu, ale w praktycznym rezultacie — prawdziwą zbrodnią zarówno narodową, jak państwową i społeczno-kulturalną. Bo proszę tylko przez

jedną sekundę trzeźwo pomyśleć: tu bolszewizm wali na nas z zewnątrz, sprzymierzając się ze wszystkimi naszymi wrogami, rozsadzając społeczeństwo i religję — a my mielibyśmy zasiąść sobie beztrosko w wygodnych fotelach i oddawać się metafizycznym, bezproduktywnym, jałowym dyskusjom o jakichś tam filozoficznych sformułowaniach pojęcia polskości!!!

Złą więc oddaje usługę ojczyźnie ten, kto tej lekkomyślnej, karygodnej zabawie w *dzisiejszym położeniu* chce się oddawać! Gdy powiedzie nam się z biegiem czasu i z odpowiednim wysiłkiem wszystkie grożące nebezpieczeństwia naszej ojczyźnie z drogi usunąć, gdy Polska osiągnie naprawdę taką potęgę, że nikt nie będzie śmiał jej od zewnątrz grozić i urągać, a od wewnątrz paraliżować i rozkładać, to wówczas będzie mógł sobie jakiś zagorzały miłośnik filozoficznej frazeologji — w braku lepszego zajęcia — pozwolić na luksus radotowania, a nawet pisania na temat jakichś chmuro-siężnych „idei narodowych" i racji bytu Polaków i polskości.

Narazie wróg stoi u bram, penetruje bezszczelnie w głąb twierdzy polskiej i dlatego nie wolno pozwalać nam sobie na luksus metafizycznych dywagacji.

Natomiast trzeba bezwzględnie:

1) skonsolidować rozprószoną i chaotyczną dotąd, a więc i mało skuteczną akcję przeciwbolszewicką i wlać w nią znacznie większą energję, decyzję i znacznie większe pieniądze,

2) zapoczątkować i potężnie rozwinąć, ze wskazaną w tym wypadku bezwzględnością, bardzo skąpo i płochliwie poruszany dotąd front walki z wewnętrznym naszym bolszewizmem, pleniącym się obficie na polskiej naiwności, zawiściach partyjnych, obrzydliwem geszefciarstwie i niemal zupełnym zaniku prawdziwego zmysłu organizacyjnego w polskiem społeczeństwie.

Jan Bobrzyński.

Z panem Bączkowskim rozprawa

Niestety — do tego dojść musiało!

Nie lubimy pospolitych prasowych rozpraw personalnych. Jeśli niekiedy — w konsekwentnem wykonywaniu naszego programu w jakiejś dziedzinie — musimy coś zaatakować, to atakujemy jakąś cudzą akcję, czy doktrynę, czy politykę, czy ideę, czy złe zwyczaje prasowe i t. d. Słowem atakujemy jakiś objaw, kierunek lub zbiorowość, a nie jednostki. Nie lubimy grzebać się w personaljach, chyba tylko w jakimś wyjątkowym wypadku, gdy atakująca nas jednostka jest autorem wrogich nam artykułów i bierze na siebie odpowiedzialność za wrogi kierunek wobec sprawy, którą popieramy.

To też i w zakresie walki z mentalnością i kierunkiem oportunistycznego, czysto aktualistycznego, bezkrytycznie hajdamacko-filskiego kierunku, jaki reprezentuje wychodzący w Warszawie „Biuletyn polsko-ukraiński", musieliśmy siłą rzeczy polemizować niekiedy z tym kierunkiem, z tą słabeuszowską, prawdziwie „Kisielową" ideologją, w przekonaniu, że ona do żadnego „zgodnego współżycia" polsko-ukraińskiego nie doprowadzi, a jedynie tylko słabość i czołobitność polską wobec chytrej hajdamaczyzny ukraińskiej kompromituje — ale nie atakowaliśmy odpowiedzialnego redaktora tego pisma, p. Włodzimierza Bączkowskiego, a już w żadnym razie nie poniżylibyśmy się do obrażania go na łamach Naszej Przyszłości uwłaczającemi wyzwiskami.

Nadto, zajęci poważnie szukaniem właściwych metod wdrażania trudnego problemu polsko-ukraińskeigo na jakieś racjonalne, trwałe, zdecydowane tory, nie rozciągaliśmy „policyjnej" inwigilacji nad każdym artykułem, ustępem, zdaniem lub zwrotem „Biuletynu". Dążeniem naszem było bowiem i jest wzmocnienie kośćca pacierzowego Polaków w kwestji ukraińskiej — jak zresztą i w każdej innej kwestji narodowościowej lub postronnej —

nie zaś dawanie hajdamaczyźnie ukraińskiej rozkosznego dla niej przedstawienia personalnych kłótni między Polakami.

Niestety, p. redaktor Bączkowski używa raz po raz — czy też pozwala używać innym — na łamach „Biuletynu" nieprzyzwoitych, uwłaczających wyzwisk osobistych pod adresem wydawcy Naszej Przyszłości, p. dr. Jana Bobrzyńskiego. Czytamy tam np. — zamiast rzeczowej polemiki — że p. Bobrzyński jest „facecjonistą", że jest „osławionym redaktorem" i t. p. Z rozkoszą też zamieszcza „Biuletyn" — a więc odpowiedzialny za niego p. Bączkowski — wszelkie nietylko nieżyczliwe dla Naszej Przyszłości i p. dra Bobrzyńskiego, ale wprost kłamliwe plotki i notatki, pojawiające się w różnych gazetach, zwłaszcza w ukraińskich.

Sądzi zapewne p. Bączkowski, że takiem szkalowaniem czci cudzej, taką niską polemiką z innym Polakiem wsławi się wśród Ukraińców, jak „Lach serdeczny", za którego „czarnym szlakiem Ukraina tuż", spopularyzuje swój „Biuletyn", który ma „leżeć na każdym ukraińskim stole" i walnie się przyczyni do „rozwiązania problemu polsko-ukraińskiego".

No, co do dwóch pierwszych ambicji, to może mu się powiodą, gdyż wiadomo, że „czapką, papką i solą ludzie się niewolą". Może p. Bączkowski wyżebrze sobie, wypochlebi, wymodli za wszelką cenę — nawet za cenę godności Polaka wobec siczowego hajdamaki —taką poczytność dla swego pisma wśród Ukraińców i polskich ukrainistów, że „Biuletyn" rozchodzić się będzie w pół miljonie egzemplarzy. Rozchodzić się będzie, gdyż będzie dla wielu, bardzo wielu pismem „wygodnem", nie narażającem nikogo na potrzebę głębszego myślenia, czego z zasady boją się Ukraińcy, a z lenistwa nie lubi wielu Polaków.

Rzecz inna, czy ziści się tą drogą trzecia z wyżej wymienionych ambicji p. Bączkowskiego: rozwiązanie problemu i to trwałe? Pod tym względem, nie używając „biuletynowych" wyzwisk, ośmielamy się wyrazić najuprzejmiej skromne nasze przekonanie, że p. Bączkowski pozytywnego nic nie zrobi, a tylko narazi nas, Polaków, na to samo, na co naraziły konserwę lwowską owe słynne „ugodowe" herbatki polsko-ukraińskie, z których nawet umiarkowani Ukraińcy śmieli się w kułak na schodach, jak nam dobrze wiadomo.

Bo p. Bączkowski jednej rzeczy widocznie nie rozumie: że mianowicie poczytność pisma i zdawkowe pochwały polskiej

czy ukraińskiej opinji publicznej nie świadczą jeszcze wcale o produktywności i trwałości pracy w danym kierunku. P. Bączkowski nie rozumie tego — bo brak mu widocznie głębszego politycznego wyrobienia — że „Biuletyn" może mieć wśród Ukraińców sto tysięcy i więcej prenumeratorów i nie zdziałać mimo to niczego, oprócz pochwalnego kiwania głowami, a Nasza Przyszłość może mieć wśród nich, dajmy na to, tylko dziesięciu odpowiednich czytelników, a zrobić jednak duże, choć powolne wstrząśnienie.

Ale mniejsza z tem narazie, gdyż chodzi nam tu przedewszystkiem o kwestję osobistej kultury. Można wyobrazić sobie radość bojowej hajdamaczyzny, gdy czyta na łamach pisma, wychodzącego w polskiej stolicy, wyzwiska ze strony jednego Polaka na drugiego z powodu odmiennych zapatrywań na traktowanie sprawy rusko-ukraińskiej! A dalej, jakąż to przysługę oddaje p. Bączkowski sprawie polskiej — która go chyba też obchodzić powinna — gdy rozpowszechnia w swym „poczytnym" organie absurdalne plotki z „Diła", jakoby u. p. dra Bobrzyńskiego odbywało się jakieś werbowanie młodzieży ukraińskiej przy tańcach i winie? Wszak plotka ta przywędrowała ze Lwowa, gdzie nic a nic nie wiadomo o tem, co się u p. dra Bobrzyńskiego przy ul. Żórawiej nr. 11 w Warszawie dzieje lub nie dzieje. Tymczasem p. Bączkowski mieszka przecież w Warszawie i bardzo mu łatwo stwierdzić prawdziwość lub nieprawdziwość plotki: czy p. Bobrzyński istotnie przyjęcia takie urządzał lub wogóle brał w podobnych imprezach udział, o ile gdziekolwiek były?

Tego oczywistego „obowiązku publicystycznego", obowiązku poinformowania się o prawdzie, p. redaktor Bączkowski zaniedbał, choć niezmiernie łatwo mógł to uczynić, a natomiast zamieścił bzdury hajdamackie, nadesłane ze Lwowa.

Nasza Przyszłość, która nie używa pospolitych sposobów rozszerzania swej poczytności za wszelką cenę, ale wysoko się nosi, nigdyby nie zamieściła ukraińskiej czy polskiej plotki o p. Bączkowskim, nie sprawdziwszy jej dokładnie. A zresztą zdaje mi się, że p. dr. Bobrzyński ma poważniejsze zadania przed sobą, niż śledzenie naodwrót ewentualnych przyjęć politycznych u p. redaktora Bączkowskiego — z herbatką i winem lub bez — i obniżanie poziomu Naszej Przyszłości publikacjami tego rodzaju, nawet sprawdzonemi.

Wogóle p. Bączkowski i jego polscy i ukraińscy współautorzy „Biuletynu" mylą się w jednem zasadniczo: przyzwy-

czajeni do widowisk werbowania przychylności Uraińców śmiesznymi sposobami ze strony różnych polskich „polityków“, mniemają, że p. Bobrzyński i zespół Naszej Przyszłości należą też do tej kategorji ludzi i podobnym hołdują ambicjom i systemom.

Kapitalnie mylą się w tem zacny p. Włodzimierz Bączkowski i jego bezpośredni protektorzy i adherenci. Nasza Przyszłość bowiem, jak z całej jej treści i tonu aż nadto jasno wynika, nie dba zupełnie o zdawkową opinję publiczną, a p. dr. Bobrzyński aż nadto dobrze zdaje sobie sprawę, że na drodze kamienistej, którą obrał na podstawie dłuższego, praktycznego doświadczenia i obserwacji stosunków, żadnej „karjery“ na sprawie polsko-ukraińskiej nie zrobi i robić nie ma zamiaru. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że wnosząc nową, a dla wielu bardzo niewygodną myśl i metodę podejścia do sprawy rusko-ukraińskiej, narazić się musi nieuchronnie tylko na obrzucenie kamieniami z ruskiej i polskiej strony. I dlatego powtarzanie o człowieku tego typu bajek za lwowskim „Diłem“ przynosi „Biuletynowi polsko-ukraińskiemu“ i p. Bączkowskiemu największą ujmę, na jaką narazić się może wydawnictwo i publicysta, mianowicie: braku należytej informacji. A wydawnictwo, chorujące na ten brak, staje się zerem, choćby miało i pół miljona czytelników i „leżało na każdym stole ukraińskim“.

Jako jeden z dowodów prawdy tego, co tu stwierdzamy, niech służy np. notatka „Biuletynu“ z jego rubryki p. t. „Przegląd prasy ukraińskiej“ z 25 kwietnia b. r.:

„Chroń nas Boże od przyjaciół“. „Diło“ (11.IV.) w artykule pod powyższym tytułem atakuje p. Jana Bobrzyńskiego za założenie w Warszawie „Konfederacji Młodych“, która ma uświadamiać swych członków w kwestji „ruskiej“ na platformie szowinistycznie i subjektywnie pojętej unji jagiellońskiej. Objektem tej pracy mają być głównie młodzi Ukraińcy, przebywający w stolicy na studjach. „Diło“ ironizuje na temat przedsięwzięcia p. Bobrzyńskiego i przepowiada mu losy i rolę znanej krakowskiej „Zgody polsko-ruskiej“.

Otóż w odnośnym artykule „Diła, a więc i w całej tej notatce niema ani jednego słowa prawdy. Każde zdanie, każde słowo i cała wiadomość są zupełną nieprawdą. Czyż więc bezkrytyczne powtarzanie lada plotki z pisma lub pisemka ukraińskiego uważa p. redaktor Bączkowski za swój „publicystyczny obowiązek“? Jeżeli p. Bączkowski rzeczywiście tak rzecz pojmuje, to

mamy wszelkie prawo i poważne uzasadnienie zaliczyć jego wydawnictwo do rzędu brukowców, żyjących niezdrową sensacją.

A co myśleć o głębszem zrozumieniu polskiego patrjotyzmu u p. Bączkowskiego, to w tym względzie rezerwujemy sobie specjalną opinję, której tu jednak nie wysuwamy, aby nie popełniać „zniesławiania drukiem", którego notabene p. Bączkowski raz po raz wobec p. Bobrzyńskiego się dopuszcza. Dotąd bezkarnie. Ale czy p. Bączkowski sądzi, iż może sobie bezkarnie na wszystko pozwolić? Czy w razie, gdyby Nasza Przyszłość straciła wkońcu cierpliwość, nie ujawniłoby się raczej, że p. Bączkowski jest niezręcznym politykiem i niepożądanym redaktorem, gdyż zamiast uzgadniać i łagodzić, powoduje szkodliwe i niepotrzebne rozjątrzenie między różnemi opinjami w sprawie ukraińskiej wśród społeczeństwa polskiego?

Subtelną tę kwestję poddajemy łaskawej, dojrzałej rozwadze naszego szanownego przeciwnika.

Marjan Karczewski.

UWAGA WYDAWCY.

Wdzięczny jestem autorowi powyższego artykułu za dobrą chęć wzięcia mnie w obronę przed ustawicznymi atakami, a raczej kłuciami szpilką, ze strony „Biuletynu polsko-ukraińskiego". Ale właściwie z niechęcią zgodziłem się na zamieszczenie tej osobistej polemiki, gdyż — jak to zresztą słusznie sam autor zaznacza — wycieczki osobiste nie leżą w guście Naszej Przyszłości. Nie chodzi nam o kaprysy czy prowokacje jednostek, ale o sprawy.

W danym wypadku, skoro już doszło do osobistego ataku, muszę poniekąd wziąć w obronę p. redaktora Bączkowskiego, z którym zbyt ostro, zbyt zadzierżyście rozprawił się mój znacznie młodszy wiekiem redakcyjny Kolega. Nie, aż na tak ostre potraktowanie p. redaktor Bączkowski wcale nie zasługuje.

Nieprzyzwoite wyzwiska pod moim adresem w „Biuletynie" z pewnością nie pochodzą od p. Bączkowskiego, ani nie ukazują się z jego aprobatą. Ale niechże szanowny mój Kolega, p. Karczewski, weźmie pod uwagę, że w rzeczywistości p. Bączkowski zasługuje raczej na współczucie z naszej strony. My bowiem

z pod znaku Naszej Przyszłości jesteśmy wolni i swobodni w naszych postanowieniach i pociągnięciach, nie mamy na karku żadnej rozkazującej grupy politycznej lub finansowej, a stąd możemy pisać, co nam się żywnie podoba i brać wobec opinji publicznej rzeczywistą odpowiedzialność za nasze artykuły i politykę.

W całkiem innem położeniu, bez porównania mniej korzystnem, jest biedny Redaktor „Biuletynu polsko-ukrańskiego". Nie ma p. Bączkowski swobody redagowaniu biuletynu, nie może prowadzić własnej, swobodnej, elastycznej polityki z szerszym horyzontem w sprawach polsko-ukraińskich. Stoją bowiem za nim różne „moce" polskie i ukraińskie, których słuchać musi i które narzuciły mu pewną, zgóry określoną „ideologję" ukrainistyczną, angażując go do jej wykonywania pod rygorem, że w przeciwnym razie... no, zaangażują kogo innego.

W rezultacie, Szanowny Panie Kolego, o ile Nasza Przyszłość jest naprawdę, stuprocentowo moim organem — którego łamy dla dobrze wzajemnie wyszkolonego grona Przyjaciół Naszej Przyszłości są zawsze szeroko otwarte pod moją istotną odpowiedzialnością — o tyle „Biuletyn" nie jest i nie może być organem i prawdziwym tłumaczem przekonań p. Bączkowskiego. Kazano mu robić taką a taką politykę, więc ją robi, jutro każą mu może robić inną, więc będzie musiał polecenie to spełnić.

Dlatego również nie mam p. Bączkowskiemu za złe nieprzyzwoitych wyrazów, jakie „Biuletyn" co pewien czas względem mnie sobie pozwala. Nie wyobrażam sobie, żeby mogły pochodzić od p. Bączkowskiego, o którym mam mniemanie, że jest przecież zachodnim europejczykiem. W formie i stylu ataków „Biuletynu" widać przecież odrazu ordynarną, hajdamacką łapę. Zalatują one atmosferą siczowego bazaru. No, a jakie panowały tam maniery i obyczaje, o tem nie potrzebujemy się rozpisywać!

P. Redaktor Bączkowski „wdepnął" — jak to mówią — w to wszystko i gorzej jeszcze, gdyż uprawiać musi w dalszym ciągu politykę ukraińsko-hajdamacką, w której jakiekolwiek pozytywne, trwalsze rezultaty dla Polski z pewnością w głębi duszy nie wierzy. I dlatego niech p. Red. Bączkowski zostanie niniejszem publicznie powiadomiony, że rozumiem dobrze jego kłopotliwą sytuację i żałuję go tylko, że wskutek specjalnego zbiegu okoliczności w chaosie powojennym musiał wprząc się do rydwanu cudzej woli, cudzych ambicji i cudzego politycznego spryciarstwa i stał się przez to — z pewnością wbrew swej woli — do pewnego stopnia ich narzędziem.

Szkoda tylko, niezmierna szkoda, że wielu moich współrodaków, mając wciąż na ustach frazes o „Polsce Mocarstwowej“, dąży do niej jakąś dziwaczną a upartą metodą ustawicznych „Piławiec“, łudząc się nadzieją lub wmawiając w siebie gwałtem, że w ten sposób zaimponują Ukraińcom i przyciągną ich do Polski. A nieszczęsna ta metoda, zdruzgotana niezliczonymi przykładami z dawnej i nowej historji, nic innego w najlepszym razie sprawie nie przyniesie, jak tylko ułatwi siczownictwu coraz dalsze i coraz większe żądania i pretensje, bez nadziei końca, oraz chytre z ich strony ukrainizowanie coraz dalszych obszarów Polski pod złudną dla Polaków przynętą obietnicy „zgodnego współżycia“, którego żadna partja ukraińska, gdyby nawet szczerze chciała, zagwarantować nam nie może, skoro, jak dobrze wiadomo, przywództwa tych partji nie mają rzeczywistej mocy i wpływu na pomysły, konspiracje i wyskoki ich dołów.

Jan Bobrzyński.

Niechlubni potomkowie zdobywców Sammosierry

Można dziś dyskutować o tem, czy Polacy dobrze lub źle pod przymusem zrobili, dopomagając Napoleonowi w zdobywaniu i gnębieniu Hiszpanji, czego kulminującym faktem i porywem — z militarno-patrjotycznego punktu widzenia — był bezprzykładnie bohaterski atak szwoleżerów na ufortyfikowaną przełęcz Sammosierry. Ale zato żadnej nie może podlegać dyskusji hańbiąca nasz naród karykatura tego czynu, dokonana niedawno, w około sto trzydzieści lat później — w całkiem innych założeniach i warunkach.

Kilka miesięcy temu „odznaczyli się“ bowiem polscy ochotnicy, w liczbie przeszło trzech tysięcy, łamiąc zwycięsko na żołdzie czerwonej armji hiszpańskiej, pod naczelnym dowództwem oficerów bolszewickich, pewien odcinek hiszpańskiego frontu armji narodowej, walczącej o człowieczeństwo, naród, Kościół i Wiarę. A w zwycięskim tym ataku pobili polsko-bolszewiccy „bohaterzy“ włoskie drużyny ochotnicze.

Palący wstyd i wieczna hańba, której żadne frazesy nie zmyją. Bo już sam fakt, że znalazło się wśród Polaków przeszło trzy tysiące wyrzutków społeczeństwa, które oddały się pod rozkazy czerwonej Moskwy i z bronią w ręku walczą przeciw żołnierzom cywilizowanego zachodu, jest sam w sobie aż nadto monstrualnym! A monstrualność i hańba tego nowoczesnego pseudosommosierskiego wyczynu zwiększa jeszcze okoliczność, że tym razem kazał taki atak wykonać Polakom nie jakiś Napoleon, obiecując im wzamian wskrzeszenie ojczyzny, ale poprostu Stalin, dążący do zawładnięcia i zmoskwiczenia Polski!!!

Wśród szeregu demagogicznych, niezmiernie nieraz szkodliwych absurdów, w jakie obfituje niestety polska historja powojenna pod wpływem różnych, modnych, powojennych haseł i szałów, ten zbrodniczy absurd polsko-bolszewickiej pseudo-

Sammosierry jest chyba największym, najbardziej hańbiącym i — najgłupszym.

Ale daleko jeszcze ważniejszym problemem od zbrodniczego i głupio-bezmyślnego faktu przejścia trzech tysięcy szumowin polskich na służbę armji bolszewickiej — bo taką jest istotnie „hiszpańska" armja czerwona — jest perspektywa, że po skończeniu walk w Hiszpanji, szumowiny te mają zamiar, ogółem biorąc, wrócić do Polski i w aureoli swej pseudo-Sammosierry szerzyć na dobre u nas bolszewizm i pomnożyć potężnie i tak już dostatecznie groźną ilość płatnych moskiewskich agentów. Nie trudno wyobrazić sobie, jakie to wrażenie będzie robił na polskich parobkach i dziewuchach taki „czerwony weteran", wracający na wieś polską z krwawych bojów w egzotycznej Hiszpanji, gdy z emfazą prawić zacznie, jak to gracko rozprawiły się polskie bagnety pod komendą „polsko-hiszpańską" z faszystami włoskimi, „wrogami ludu i wolności"! A przy okazji tych bohaterskich relacji, które w zachwyt wprawią pierwszą lepszą Kaśkę lub Maryśkę, a może nawet i samego pana sołtysa, wszczepiać będzie „zasłużony weteran" rozanielonym słuchaczom obficie bolszewicką zarazę według arcysprytnych instrukcji Komiternu. Bo to jedno żadnej nie ulega wątpliwości, że każdy, albo prawie każdy z tych obecnych polskich „bohaterów" hiszpańskiego frontu czerwonego jeżeli wróci do ojczyzny, to jako płatny agent Moskwy.

O ile chodzi tu o obywateli polskich, to należałoby w najgłębszym interesie naszego państwa pod żadnym warunkiem nie wpuścić ich z powrotem do kraju. Ustawy ustawami, przepisy przepisami, formalistyka formalistyką — to wszystko piękne, ładne i legalne, ale żadne dzielne, żywotne państwo nie powinno w imię jakiejś papierowej formalistyki, bezczelnie nadużywanej przez jawnych zdrajców kraju i narodu, wpuścić wilków między owieczki. Wszelkie legalistyczne i humanitarne porywy winny w tak nadzwyczajnym wypadku ustąpić stanowczo zdrowemu instyktowi rządu i narodu. Prawo pisane nie powinno stawać się mimowolną fortecą, ułatwiającą zbrodniczym elementom ich proceder.

Jakże inaczej moglibyśmy przed cywilizowanym światem i historją—i co najważniejsze: przed własnem sumieniem i własną racją stanu — usprawiedliwić nasz tytuł „Przedmurza Chrześcijaństwa i kultury", ujawniając aż tak donkiszocką tolerancję i sentymentalne niedołęstwo wobec jawnych moskiewsko-bolszewickich lancknechtów?! Ostatecznie wszystko winno mieć pewne rozumne granice.

Ale jeszcze ważniejszą sprawą od dopuszczenia lub niedopuszczenia do kraju powracającego czerwonego żołdactwa polskiego pochodzenia — gdyż Polakami nazwać już ich niepodobna — jest zasadnicze pytanie, skąd i jakim sposobem znalazło się w polskim narodzie aż tyle „bohaterskich szumowin“, które walczą na służbie czerwonej Moskwy dziś jeszcze, gdy aż nadto dobrze wiedzieć mogą i wiedzą, że ta Moskwa ma na celu jeszcze bardziej zgubę Polski, niż dalekiej Hiszpanji?

Być może — bo tego w tej chwili dokładnie jeszcze nie wiemy — że znaczna część, a może i większość tych zbolszewizowanych Polaków, to żywioły emigracyjne, przebywający oddawna poza krajem, a zwłaszcza we Francji, gdzie są pod protektoratem rządu p. Bluma odpowiednio na czerwony kolor preparowane. Ale bądź co bądź są to wszyscy, albo conajmniej w olbrzymiej większości, ludzie „stuprocentowej“ narodowości polskiej. A może jest wśród nich i wielu „ochotników“ wprost z Polski. W każdym razie wstyd i hańba, że sławna polska tradycja wojskowa wyciera się w tym wypadku w takiem błocie! Zarazem widzimy w tem nowy dowód i to bardzo jaskrawy, jak słabą jest akcja antykomunistyczna wśród ogółu polskiego społeczeństwa, mimo całej obecnej nadprodukcji szowinistycznego nacjonalizmu i wszelkich głośnych a pustych wrzasków antysemickich.

Bo istotnie — co znaczą te wszystkie ‚narodowe“ hasła i wrzaski, co znaczy cała nasza, tak szumnie głoszona „działalność antykomunistyczna“ wobec realnego, bezspornego faktu, że na rozkaz komunisty Thoreza lub żydosocjalisty Bluma, albo bolszewika Stalina całe pułki ochotnicze polskie dokonują heldentatów po stronie jakiegokolwiek bolszewickiego frontu?!!

Niechże bezsporny ten fakt, który żadną dyplomatyką nie da się „taktownie“ zamaskować, ani żadnymi frazesami partyjnopolitycznymi zatuszować, otworzy nareszcie oczy naszym różnym instytucjom i luźnym działaczom antykomunistycznym na wielką prawdę, że w rozprószeniu, a nieraz nawet i w antagoniźmie konkurencyjnym między sobą, nie zrobią nic prawdziwie skutecznego przeciw kolosalnej bolszewickiej nawale, ale głosy ich — mimo wszelkich gromadzonych bibliotek, informacyj i wydawanych w małym nakładzie pism i pisemek — są tylko słabymi szańczykami, przeciwstawiającymi się beznadziejnie huraganowemu ogniowi olbrzymiej organizacji wroga.

Przedziwne, ale niestety prawdziwe zjawisko: z bolszewikami paktują prywatnie różni Polacy w różnych dziedzinach,

zwłaszcza geszefciarskich, w rozczulającej z nimi harmonji — ale prawie niepodobna zebrać dwóch polskich działaczy antykomunistycznych na chwilę w tym samym pokoju, bo się natychmiast przeciw sobie najeżą, a nawet skoczą sobie do oczu!

Wrodzona anarchja mentalności polskiej, ujawniająca się nawet w dobrych zamierzeniach, objawia się tu w całej pełni. A z nią razem ujawnia się typowo polska mała wielkość, czy wielka małość.

I pod tem wrażeniem, jak również z uczuciem palącego wstydu z powodu owych bolszewicko-bohaterskich wojowników polskich za sprawę czerwonych carów moskiewskich w Hiszpanji, stawiamy jasno i wyraźnie następującą tezę:

Ponieważ potężna, destrukcyjna akcja Kominternu jest zorganizowana w jednolity blok i działa jako miecz w jednem ręku z żelazną konsekwencją, więc mowy być nie może w polskim narodzie o przeciwstawieniu się na serjo takiej potędze, dopóki wszystkie antykomunistyczne organizacje i wysiłki w kraju nie zostaną odpowiednio zblokowane i skonsolidowane i dopóki tą zbiorową siłą nie zajmą bezwzględnie zdecydowanego, bezkompromisowego stanowiska wobec wszelkich, bezpośrednich, pośrednich, albo i mimowolnych przejawów zewnętrznego i wewnętrznego bolszewizmu

W przeciwnym razie szkoda czasu i atłasu i gotujmy się pokornie pod jarzmo moskiewsko-bolszewickie.

Sekcja antybolszewicka
Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

»Blady strach« nad bujną Ukrainą

Rozmowa w Redakcji.

Tuż przed oddaniem do druku niniejszego zeszytu wydawnictwa wpadł do naszej redakcji jeden z prenumeratorów pisma, znany nam oddawna jako uważny czytelnik, interesujący się trochę także sprawą polsko-ukraińską i wymachując jakimś zadrukowanym papierem, krzyknął na powitanie: „Co panowie robicie?"

Okazało się, że chodzi o naszą akcję w sprawie polsko-ruskiej i o artykuły i notatki, któremi atakuje nas „Biuletyn polsko-ukraiński", a zwłaszcza jego nr. z 30-go maja, zawierający krewką odpowiedź p. t.: „Blady Strach" na nasz defensywny artykuł, zamieszczony w majowym zeszycie Naszej Przyszłości w odpowiedzi na atak lwowskiego „Diła".

Właśnie tym numerem „Biuletynu" wymachiwał nasz wystraszony, czcigodny prenumerator. Wywiązała się stąd między nim a naszym wydawcą, red. J. Bobrzyskim, następująca rozmowa, którą uważamy z wielu względów za wskazane zamieścić w ostatniej chwili w tym zeszycie, oddając ją, o ile tylko pamięć może człowiekowi dopisać, z możliwie stenograficzną dokładnością .

Prenumerator. Co panowie robicie?! Wszystko się na was rzuca, gazety ukraińskie, a nawet i polskie, jak pan tu widzi, wypisują na was niestworzone rzeczy. Mięszają z błotem Naszą Przyszłość, no i samego szanownego pana redaktora! Co z tego wszystkiego będzie?

Redaktor. Niech się pan uspokoi! Proszę uprzejmie odłożyć na bok to ruskie pismo, które pan w ręku trzyma i proszę zapalić papierosa.

Pren. Jakto ruskie pismo? Przecież to po polsku pisany i redagowany „Biuletyn polsko-ukraiński"...

Red.. Nie, proszę pana, to tylko „Biuletyn ukraiński“. Polskiego nic w nim niema. Pisują tam wprawdzie czasem i Polacy niewinne artykuły naukowe lub aktualistyczno-polityczne, które nawet mrówce na ukrainnej ziemi na nóżkę nie nastąpią. To im wolno. Ale to tylko sztucznie zainscenizowane pozory .Najważniejsze bowiem, rdzenne artykuły kropią w tem piśmie Rusini lub nieszczęsna redakcja, zmuszona jakiemiś warunkami do pełnienia roli, jaką jej inni narzucą. Któż to taki atakuje mnie znowu w „Biuletynie“?

Pren. No, niejaki Iwan Kiedryn...

Red. Widzi pan! Proszę uprzejmie o ten numer. Ot, niech pan spojrzy: Same niewinne, niewiele mówiące artykuliki, a tylko jeden z nich, mocny — prawdziwie „morowy“ — pisany jest przez Ukraińca. Twierdzę stanowczo, że „Biuletyn“ jest pismem ukraińskiem, a nazywa się polsko-ukraińskim tylko dlatego, żeby było trudniej zgadnąć!

Pren. Czyż podobna...?

Red. Jest to mój sąd najłagodniejszy o tem wydawnictwie. Daleko gorzej byłoby, gdybym twierdził — czego jednak nie czynię — że „Biuletyn“ jest rzeczywiście polskim organem, kłaniającym się w pas Ukraińcom i wybijającym przed nimi hołupce dla wyżebrania ich łaskawej przychylności dla Polski. Jeżeli więc określam to pisma jako będące we władaniu Ukraińców, to staram się ratować jako tako autorytet narodu i państwa polskiego, o którego aspiracjach mocarstwowych wszędzie czytam i słyszę.

Pren. Ale niechże pan redaktor przeczyta, co oni znowu na pana wypisali! Jako zwolennik Naszej Przyszłości nie mogę pozostać na to obojętnym, ale — wybaczy pan redaktor — muszę domagać się wyjaśnienia.

Red. Dobrze, ma pan do tego całkowite prawo! Więc służę z odpowiedzią. Niech pan będzie łaskaw przejrzeć uważnie faktyczne momenty tego artykułu:

Najpierw, typowo wschodnia, ukraińska łapa, która nie jest w stanie odpowiedzieć spokojnie, kulturalnie na coś, co się jej nie podoba, ale utrzymuje cały, dość długi artykuł na poziomie znacznie niższym nawet od przeciętnego polskiego brukowca, tytułując mnie per „jegomość“, nie szczędząc w żadnym słowie najzgryźliwszej ironji i jadu, i robiąc ze mnie już zupełnie czarnego

djabła, jakiego wizerunki znikły już nawet z obrasków odpustowych.

Pren. Ale dlaczego taka złość, skąd tak straszna nienawiść i chęć poniżenia pana, jaka bije z tego artykułu?

Red. Zaraz to panu wytłumaczę, ale idźmy po porządku.

Oto drugi objaw ciekawy, znamionujący odruch wściekłości i rozpaczy bankrutującego systemu wobec wszystkiego, co nowsze, szczere i świeże: zarzuty ignorancji i popisywanie się z przeżyłą uczonością. Daleki jestem od zarozumialstwa, rozplenionego dziś tak obficie wśród maleńkich ludzi wielkiej epoki, ale stwierdzam tylko niezbity fakt, że w tym wypadku w bardzo zaszczytnej znajduję się kompanji: wszyscy bowiem wielcy autorzy i działacze, torujący drogę nowym prądom i ideom, byli i są przez przeciwników stale atakowani zarzutem ignorancji. Zarzut taki niezmiernie łatwo sformułować. Autor bowiem danej nowej koncepcji niezawsze może wyłożyć ją i sprecyzować pedantycznie w sześciotomowem dziele, poczynając od Adama i Ewy i zaopatrując swe kilogramowe wywody tysiącami cytat z różnych dzieł i dokumentów. Pisze—zwłaszcza gdy chodzi o praktyczną linję polityczną — w lapidarnych rzutach zasadniczych, stojąc na stanowisku, że pewne rzeczy są wśród inteligentnych czytelników, nawet przeciwników, same przez się zrozumiałe, Chodzi przecież w takich wypadkach o samą istotę koncepcji, a nie o tysiączne szczegóły; szczególiki, wśród których zgubiłaby się, jak w gęstym lesie, myśl przewodnia. Erudycja, z patosem eksponowania, może tłumom imponować, ale nie zawsze jest na miejscu. Często służy jako jaskrawy płaszczyk do zakrycia — braku własnej myśli autora.

Pren. Zgoda, ale przeciwnik chwyta pana na czemś konkretnem: na błędnem przetłumaczeniu jakiegoś zwrotu, coprawda ubocznego, z artykułu „Diła“!

Red. Otóż to właśnie! Na takich sztuczkach powierzchownych, maskujących zręcznie głębszą rzeczywistość, polega polemika jadu i rozpaczy bankrutującego systemu. Pamiętam, z jaką namiętnością atakował stary historyk Schmitt pierwsze wydanie epokowych „Dziejów Polski“ mojego ojca, doszperawszy się skwapliwie wyrażenia omyłkowego o układach „wawelsko-bydgoskich“, zamiast welawsko-bydgoskich. Tembardziej pozwolić sobie może „Biuletyn“ na wykazywanie mojej „ignorancji“, że tłumacz, któremu dałem do przetłumaczenia cały artykuł „Diła“,

aby ułatwić sobie wśród licznych innych zajęć robotę redakcyjną, przetłumaczył błędnie jakieś jedno czy dwa słowa, o podrzędnem zresztą dla całości znaczeniu, iż istotnie uszło to mojej uwagi. Oczywiście, robię sobie za to wymówkę i zrobiłem ją tłumaczowi, ale niech pan osądzi, w jakiej proporcji stoi ta omyłka szczególikowa do ogromu sprawy, o którą chodzi!

Pren. No, rzeczywiście, to drobiazg, ale tem bardziej powtarzam moje pytanie: skąd tyle jadu i wściekłości na pańską osobę.

Red. Proszę pana, przyczyna jest całkiem prosta i jasna dla każdego, kto nie poddaje się legendom fałszywej erudycji, ale uważnie obserwuje rozwój i tendencję wypadków. Poruszyłm prawdziwe gniazdo osie, demaskując parę prawd bezspornych, dotyczących nie całego narodu ukraińskiego, ale wyłącznie tylko sprytnych polityków i agitatorów ukraińskich w Małopolsce Wschodniej, a mianowicie:

po pierwsze, że tym politykiem i agitatorem — których nazywam ukrainizatorami — wcale nie chodzi o powstanie wielkiej, niezależnej Ukrainy aż po Zadnieprze włącznie, gdyż uważają to jako „politycy realni" za niemożliwość lub muzykę jakiejś nieokreślenie dalekiej przyszłości i ponieważ zdają sobie sprawę, że jako „byli austryjcy", różni od swych pozagalicyjskich współbraci przepaścią psychiki i światopoglądu, są przez nich bardziej znienawidzeni od Polaków i Moskali,

powtóre, że wobec tego szczerymi propagatorami powstania Wielkiej Ukrainy — o której od kilkunastu lat tyle się mówi i pisze, są nie małopolscy Ukraińcy, ale Polacy, a zwłaszcza pewne odłamy polskiego społeczeństwa, które o tej sprawie myślą na serjo ze względu na ewentualną możliwość rozbicia Rosji, podczas gdy ukraińscy działacze galicyjscy nadużywają bez wiary tego hasła jako strachy na Lachy, t. j. aby wydusić jego „grozą" różne doraźne koncesje i zamaskować niemi swe istotne dążenia,

po trzecie — i to jest najważniejsze — że Ukraińcy galicyjscy dążą bez żadnej wątpliwości do opanowania i zukrainizowania na swą modłę połowy obecnego państwa polskiego, na przestrzeni wielkiego półksiężyca, od Wileńszczyzny po przez Prypeć, Wołyń, Chełmszczyznę i znaczną większość Małopolski, bo aż po Dunajec, aby utworzyć z obecnej Polski coś w rodzaju dawnych Austro-Węgier, a więc Polsko-Ukrainy, z bardzo da-

łeko sięgającą autonomją dla ukraińskiej połowy i wyparciem z niej kilku lub kilkunastu miljonów zamieszkujących ten obszar Polaków.

Otóż o ten trzeci punkt toczy się istotna walka między Naszą Przyszłością a „Biuletynem“ i ukraińskiemi gazetami. A o tym najważniejszym odcinku, na którym Nasza Przyszłość z natury rzeczy prowadzić musi zdecydowaną kontrofenzywę — niemasz ani słowa wzmianki w buńczuczno-polemicznych artykułach „Biuletynu“ czy „Diła“. Na tem miejscu są natomiast wylewy żółci i wyzwiska.

Pren. Ach, więc o to chodzi? Teraz zaczynam rozumieć i wobec tego nie dziwię się że...

Red. ... że nas z taką zajadłością atakują! Ma pan teraz dokładne wyjaśnienie tej całkiem specjalnej zaciekłości, jaką jesteśmy obrzucani. Bo niech pan się dowie prawdy: że gdzie w artykule prasowym występują wściekłość i wyzwiska, tam chodzi z reguły o zamaskowanie czegoś znacznie poważniejszego, na co polemizujący polityk nie znajduje rzeczowego kontrargumentu lub co pragnie za wszelką cenę zatuszować.

A my pragniemy dla całego narodu ruskiego jaknajlepszej przyszłości. Chcemy, aby zechciał i umiał przygotowywać się konsekwentnie i pozytywnie na najbliższą, wielką okazję zmartwychwstania, która może już w niedalekiej przyszłości zaświta. Nie przesądzamy również kwestji ostatecznego uregulowania granicy między Polską a przyszłą wolną Ukrainą, o ile nowe to państwo, po tylu wiekach z naszą pomocą wskrzeszone, zwiąże się z Polską w jakikolwiek sposób, dający gwarancję stałego przymierza, w którem oba państwa cośkolwiek z absolutnej swej odrębności odstąpią rozumnie i celowo na rzecz wzajemnego utrwalenia swej potęgi wobec sąsiadów. Będzie to istotnie chyba największa potęga na kontynencie Europy. Aby się to jednak ziścić mogło, musi zmienić się wpierw ukraińska psychika.

Ale nie możemy dopuścić, aby polska opinja publiczna była tymczasem usypiana różnemi środkami i frazesami o „ukraińskich krzywdach“, pod którymi kryje się sprytnie agitatorska robota zaboru połowy obecnego państwa polskiego przez ukrainizatorów. W tę robotę bić będziemy bez pardonu, bez żadnych względów na „takty“ czy „dyplomacje“ i wzywamy wszystkich Polaków, nie zahipnotyzowanych jeszcze całkowicie ugodow-

stwem polsko-ukraińskiem „za wszelką cenę", aby, odkładając nabok przynajmniej pod tym względem różne swe antagonizmy, polemiki i różnice przekonań, wytworzyli jednolity front i powiedzieli ukrainizatorom do słuchu: Stop, ani kroku dalej!

Pren. Jeżeli istotnie taką jest sytuacja, to nie może być chyba wątpliwości co do konieczności wspólnej, zdecydowanej postawy ze strony społeczeństwa i rządu polskiego. Ale niech mi pan redaktor wybaczy, że jeszcze niecałkiem, nie stuprocentowo rozumiem, dlaczego ataki ukraińskie stawiają Naszą Przyszłość i pańską osobę nawet poniżej otwarcie „ukrainożerczych" pism i działaczy endeckich?

Red. I to jest jasne. Długie wieki niewoli ruskiego narodu wyrobiły w nim wogóle, a zatem i w małopolskich Ukraińcach, jakgdyby rozmiłowanie w cierpiętnictwie. Wyrażenie „krywda" zrosło się z wyobraźnią i polityką rusko-ukraińską od niepamiętnych czasów. Żaden naród, nawet Polacy w czasach najgorszego ucisku carskiego i pruskiego — nie prawił tyle, co drugie słowo o swoich krzywdach, jak nawykł do tego naród ruski, nawet w momentach i warunkach względnej pomyślności. Wszak np. przed wojną każdy bogaty chłop na Ukrainie pod panowaniem rosyjskiem prawił o krzywdzie, a galicyjscy Ukraińcy podnieśli to pojęcie wprost już na wysokość sztandaru. Wszystko, co się na świecie dzieje i co naturalnie także i Ugraińca dotyka, jest „krywdą".

Ta psychika cierpiętnictwa hoduje więc ruskie pokolenia, podobnie nieco, jak hoduje i żydowskie. Tylko, że Żydzi lepszy na tem cierpiętnictwie umieją robić interes, a ruch ukraiński słabiej i niedołężnej ich w tem naśladuje. W każdym jednak razie szerzyciele ukrainizmu i pojęcia ukraińskiej „krywdy" nie mają zbyt za złe szowinistom polskim, że im w tem samobiczowaniu się dopomagają. Przeciwnie, uważają to za pewien moment wzmacniania się i konsolidacji ruskiego narodu pod stosunkowo nowoczesnym sztandarem ukrainizmu.

Natomiast najzacieklej atakują tych Polaków, którzy przychylnie odnosząc się do sprawy ruskiego narodu, psują ukrainizatorom sprytny interes usypiania i stopniowego owładania Polską. I stąd rozumie pan...

Pren. Rozumiem. Teraz widzę jasno, o co chodzi. Ale czy panowie nie narażacie się zbytnio, poruszając tak brutalnie i otwarcie te sprawy?

Red. Oczywiście, narażamy się i to nawet bardzo. Ale to nie żaden powód do kapitulacji z takiej akcji. Przecież to walka już nietylko o odwieczny stan posiadania polski w ziemiach kresowych, o ludności mieszanej, ale poczęści i o ziemie rdzennie polskie. Bo agitator ukraiński zaszczepia swą akcję wszędzie, gdzie choćby trzech chłopów ruskich znajdzie się w jakiejś polskiej miejscowości. Tam już odrazu nazywa się, że to „rdzenna Ukraina", choćby leżała pod Nowym Sączem lub Tarnowem, czy Lublinem. Miał powiedzieć Chmielnicki w momencie największej swej potęgi i dumy: „Przepędzę Lachów poza Wisłę i każę im tam milczeć i cicho siedzieć!" O to chodzi widocznie dzisiejszym małopolskim ukrainizatorom. Do tego pcha ich rozpętana ideologja siczowego hajdamactwa i kozaczyzny.

I to się musi zmienić. Na tym punkcie Polacy nie mogą zachowywać się jak niedołęgi. Tu żadna erudycja książkowa nie pomoże, ani hajdamaczyźnie nie zaimponuje. Naród o aspiracjach mocarstwowych, który chce spełnić jakieś ważne zadanie, musi jasną i zdecydowaną prowadzić politykę i nie łudzić się tem, że od przeciwnika może coś wybłagać i wyczapkować. Będzie to zdrowem zarówno dla Polaka, jak i Rusina.

Pren. Dobrze, ale czy pan, szanowny redaktorze, obiecuje sobie jakieś pozytywne rezultaty z tak mocnej, bezwzględnej, powiem wprost: rewolucjonizującej akcji w ukraińskiem społeczeństwie, a przytem i w tych polskich sferach, które obecny status quo platformy ukrainizmu popierają i z niej zejść nie chcą?

Red. Słusznie pan nazywa akcją naszą rewolucjonizującą. Bo istotnie rzuciliśmy bombę w status quo polsko-ukraińskiej sprawy! Ale dlaczego postąpiliśmy tak, a nie inaczej? Dlatego, proszę pana, że doszliśmy do najgłębszego przekonania, iż wszystkie inne metody — łagodne, taktowne, dyplomatyczne, książkowo-naukowe i wogóle „werbujące" — absolutnie do niczego pozytywnego nie doprowadzają. Wszystkie one okazały się w rezultatach istną farsą, w której Polak i Rusin jakieś sztuczne, teatrzykowe grają rolę, oszukując się wzajemnie, mniejsza o to, czy z wolą, czy mimowoli. Zbudowano sobie z desek jakgdyby prowincjonalny teatrzyk polsko-ukraiński, przystrojono go w barwne dekoracje siczowe, ubrano aktorów w hajdamackie kontusze i wstążeczki, literaci i poeci napisali ad hoc libretta — niektóre z dużym nawet talentem — nastro-

jono drumle i inne instrumenty i puszczono się w ochocze tany, przed tłumem widzów z obu narodów i całego świata.

A farsa ta uniemożliwia doprowadzenie do skutku jakiegokolwiek na serjo porozumienia między obu narodami i uzgodnienie między nimi racjonalnej, konsekwentnej drogi przygotowawczej do wskrzeszenia wolnej Ukrainy i do prawdziwej europeizacji wielkiego, kolkudziesięciomiljonowego narodu. I rzecz dziwna: każdy Polak i Rusin, będący aktorem lub widzem w tej farsie, zdaje sobie doskonale sprawę z jej sztuczności i faktycznej beznadziejności. A jednak trzyma się jej konwulsyjnie, jak — z przeproszeniem — rzep psiego ogona. W rezultacie traci Rusin, a zyskuje tylko rozpasane hajdamactwo, które już przypisuje sobie, jak pan zapewne w niektórych ukraińskich gazetach zauważył, rolę „przedmurza chrześcijaństwa". A więc czajki kozackie i rozbójnicze wyczyny różnych watażków pokonać miały potęgę ottomańską! Dobry kawał, nieprawdaż?

Chociaż nie jestem takim erudytą książkowym w sprawach siczowo-hajdamackich, jak moi przeciwnicy, którzy sypią na poczekaniu uczonemi datami, jak z rękawa, to jednak zdaje mi się, że tam w tej dziwnej historji kozackiej i w dziejach odparcia wschodniej nawały na cywilizowaną Europę, było jednak inaczej i to nawet bardzo inaczej. Mam skromne wrażenie, że potęgę Mahometa złamali jednak inni po parowiekowych, wielkich wojnach, nie mających nic wspólnego z rabunkową metodą hajdamacką. Zdaje mi się również, że to właśnie — oprócz kilku przeciwnych wyjątków — Kozacy ściągali często na nas najazdy tureckie i tatarskie,a w końcu dzielnie dopomagać zaczęli inwazji Moskwy na zachód. A i w nowszych czasach szerokie masy zukrainizowanego ruskiego ludu walnie dopomogły do zwycięstwa bolszewizmu w Rosji i przeniesienia go w pewnym stopniu w granice naszego państwa, gdzie chłop polski, mimo wszelkich radykalnych prądów i biedy kryzysowej, dzielnie mu się jednak opiera. Teraz cierpi lud ruski srodze pod butem bolszewizmu, ale czy do tego nie przyczynił się, wykonując wolę bolszewików palenia dworów, niszczenia wszelkiej wyższej kultury i masowego popełniania okrucieństw, wobec których bledną nieraz rzezie, urządzane przez siczowych mołojców kilkaset lat temu?!

I wzamian za to wszystko usypia nas nowoczesny ukrainizm dźwiękami kozackich teorbanów w owym polsko- ukraińskim teatrzyku prowincjonalnym. A my, Polacy, mamy się na

to wszystko godzić, o wszystkiem zapominać i obsypać sprytnych ukrainizatorów na nasz koszt wszelakiemi dobrodziejstwami, ustępstwami, autonomją, uniwersytetami i kredytami z kas państwowych i dopomóc im — z cielęcą naiwnością — w zdobywaniu dla ukrainizmu coraz dalszych obszarów w naszem państwie, do hajdamckiego rozagitowania Łemkowszczyzny, Wołynia i tak dalej!!!!

I to wszystko czynić mamy dla narodu, wprawdzie partyjnie aż nadto rozagitowanego, ale politycznie i państwowotwórczo zupełnie niewyrobionego, a przytem tak słabego, tak mało odpornego na wszelakie obce wpływy wywrotowe, że może nam łatwo sprowadzić na karki komunistyczną, czy jakąkolwiek inną wrogą nawałę!

Nie, tak głupi nie jesteśmy, a przynajmniej tak głupią nie jest Nasza Przyszłość. Teatrzyk polsko-hajdamacki musi być gruntownie zburzony, a naród ruski przejść musi niemniej grutowne rekolekcje, aby stał się narodem w cywilizowanem tego słowa znaczeniu. Bo dotąd ma wszelkie cechy tylko szczepu, na którym wyprawiają harce protagoniści hajdamackiego ukrainizmu.

To jest naga prawda, uwolniona z wszelkich obsłonek. A że w losach każdego narodu tylko prawda w ostatecznym rezultacie zwyciężyć musi, więc i ja niepłonną mam nadzieję, że aktorzy i reżyserowie owego polsko-ukraińsko-hajdamackiego teatrzyku, a za nimi—a może jeszcze przed nimi!—coraz szersze warstwy inteligencji w ruskim narodzie dojdą stopniowo do przekonania, że Ukrainiec dzisiejszy musi przeistoczyć się w „historycznego Rusina", jak żarłoczna gąsiennica przeistacza się w pięknego motyla. Mam głęboką wiarę w to, że się tak stanie, inaczej bowiem nie rzucał bym na szalę walki mojego nazwiska, nie traciłbym czasu i pieniędzy na rzecz wątpliwą.

Pren. Przypuśćmy, że to się spełni, ale tymczasem pańskie wydawnictwo i pańska osoba obrywają tęgie cięgi ze wszech stron. Czy nie ma pan redaktor obawy, że akcja pańska może się pod tym naporem w końcu załamać, zwłaszcza, że nasze, polskie społeczeństwo też mało jest wyrobione w trudnej sztuce prowadzenia i popierania konsekwetnej, nieugiętej akcji, aż do rezultatu, który nastąpić może po dłuższym dopiero czasie?

Red. O to proszę się nie obawiać. Zarówno ja sam, jak i moje wydawnictwo mamy twardą skórę, mam nadto szczęście

współdziałania pewnego grona przyjaciół, już zahartowanych na owe cięgi, o których pan wspominał. Ale przedewszystkiem górujemy jednem nad naszymi przeciwnikami z polskiej i ruskiej strony: my niczego dla siebie nie pożądamy — ani licznej prenumeraty dla naszych wydawnictw, ani pieniędzy, ani sławy, ani mandatów i innych zaszczytów i gardzimy suwerennie wszelkiem płaskiem, materjalistyczno - krajerowiczowskiem klim - bim, na czem wszystkiem naszym przeciwnikom i wrogom ogromnie zależy. Nas stać pod każdym względem na to, aby głosić prawdę i bezinteresownie przyczyniać się z niewzruszoną konsekwencją do dobra sprawy, którą za słuszną uważamy. Nasi przeciwnicy zaś po ruskiej i polskiej stronie zależni są — biedacy! — od całego splotu doraźnych, bardzo poziomych geszeftów i geszefcików politycznych, pieniężnych, dziennikarskich, karjerowiczowskich i t. p. Możemy więc z suwerennym spokojem wytrzymać ich grad kamieni i to tembardziej, że oni kłamią i kłamać muszą, a nas stać na głoszenie prawdy.

A skoro przez szkołę twardej prawdy i obalenia szkodliwych legend tromtadrackich zmartwychwstała i utrwala się — coprawda wśród wielu zmagań — niepodległość i mocarstwowość naszego narodu, to nie ulega dla nas cienia wątpliwości, że tylko taką samą drogą może i musi nastąpić wskrzeszenie Wielkiej Ukrainy, której racja stanu będzie mniejwięcej identyczna z racją stanu Polski. Ale musi to być Ukraina „europejska", a nie hajdamacko-kozacka. Naród ruski nie może być dłużej „atutem politycznym", rozgrywanym w wielkim brydżu intryg dyplomatycznych. Naprawić błędy przodków polskich i ruskich, wyeliminować wszelką tromtadrację z przeszłości i przyszłości obu narodów i stworzyć wspólnemi siłami nowoczesną, zmodernizowaną potęgę, której w tej części kontynentu Europy nikt na serjo nie będzie w stanie się oprzeć, pokonać wspólnemi siłami napór moskiewsko-mongolskiej potęgi i stworzyć pancerny mur przeciw komunistycznej nawale — oto kardynalne zadanie dwóch wielkich narodów, polskiego i ruskiego.

W tem zadaniu Nasza Przyszłość — jak to już z samej jej nazwy wynika — daje zdecydowaną inicjatywę. A że to różnym pp. aktualistom, prezesom i redaktorom nie przypada do gustu, o to absolutnie nie dbamy!

Konieczność planowania

Przed młodem państwem naszem stoi mnóstwo zadań, nietylko nie wykonanych, ale nawet jeszcze nie wdrożonych — mnóstwo problemów, o których racjonalne rozwiązanie prawie nikt się dotąd nawet nie kusi. A są to wszystko zadania i problemy pierwszorzędne, życiowe, mające zadecydować o losach i wprost egzystencji państwa, prawie zewsząd otoczonego wrogami i trawionego wewnątrz ciężkiemi niedomaganiami różnego rodzaju.

Prawie nikt dotąd na serjo tem się zajmował i zajmować nie chciał. Wszystko w Polsce, od góry do dołu, pogrążone jest w krótkoterminowym, doraźnym, efemerycznym aktualiźmie. Doraźne interesy zawodowe, traktowane z nadmierną afektacją z dnia na dzień, przy karygodnym braku myśli i chęci myślenia o jutrze—o to, co wyłącznie, bez reszty, zajmuje współczesną polską mentalność we wszystkich sferach. Każdy twierdzi, że mu brak czasu nawet na kwadrans spokojnej refleksji o całości i przyszłości, każdy z miażdżącem lekceważeniem odnosi się do projektów skoordynowania lub wytyczenia jakichś ogólnych, wyraźnych torów, po których mogłoby się dopiero racjonalnie, celowo, bez ustawicznych wstrząsów, niemiłych niespodzianek i karkołomnych eksperymentów potoczyć nasze życie wewnętrzno-ustrojowe i społeczne i gospodarcze, i jakaś racjonalna polityka narodowościowa i zagraniczna. Wytyczenie takich torów odrzucane bywa stanowczo, z widocznem lekceważeniem przez tak zwanych „ludzi trzeźwo myślących", t. j. krótkowzrocznych realistów i aktualistów politycznych lub gospodarczych. Z ironją odzywają się o wszystkiem, co nie leży przed nimi detalicznie na porządku dnia, jakgdyby na talerzu, mianując wszelką planową myśl o jutrze lub pojutrze wzgardliwem mianem „ogólników", lub nierealną muzyką przyszłości, którą zajmować się nie warto, jeśli już nie wprost donkiszoterją.

W ten sposób dojutrkują z dnia na dzień nasi politycy, urzędnicy, rolnicy, przemysłowcy i kupcy, a nawet często i uczeni, którzy także nadmierną wagę kładą na wykonanie jakiejś specjalnej, bezpośredniej pracy zawodowej, o wąskim często horyzoncie i mało dla ogółu pożytecznej. A tymczasem zbierają się nad Polską ciężkie chmury, z których gromy wcześniej runąć mogą, niż się spodziewamy, a narazie życie polskie rozwija się — o ile to rozwojem nazwać można — nakształt rozpędzonego samochodu, rozbijającego się po bezdrożach niebezpiecznymi skokami z jednego manowca na drugi. I raz po raz stają różne nasze sfery zawodowe przed niespodziankami, które takie życie z sobą przynosi, a wówczas dopiero krzyk i gwałt, narzekanie i konwulsyjna, oczywiście kiepska łatanina.

Pojęcia i wyrazy „realny“ i „konkretny“, używane i nadużywane na niezliczonych konferencjach, stały się naszem przekleństwem, gdyż uniemożliwiają zgóry wszelką organizację pracy, wszelką celowość wysiłków, wszelkie — niezbędne przygotowanie się zawczasu na korzystne wybrnięcie z nadchodzących kolejno konjunktur.

System pracy podwórkowej, najordynarniejszego, najprymitywniejszego typu stał się uświęconem, nietykalnem tabu w Polsce wskrzeszonej, dojutrkujące geszefciarstwo polityczne, gospodarcze i naukowe owładnęło niemal wszystkie umysły, a o czemśkolwiek innem — zwłaszcza o Polsce i jej piekących potrzebach — wprost wspominać nie wolno pod sankcją znudzenia z miejsca słuchaczy i zyskania marki człowieka „nierealnego“ — Donkiszota.

Smutne to, bardzo smutne i bardzo niebezpieczne, ale niestety prawdziwe. Ale ponieważ grozi niebezpieczeństwem, więc musi być stanowczo przełamanem, tłumy „realistów“, „konkrecistów“ i bezmyślnych „dojutrkowiczów“ zmuszone winny być jakimbądź sposobem do odrywania się przynajmniej na chwilę od swych geszeftów i kantorów i zniewolone do pewnego udziału w pracy ogólnej nad myśleniem o jutrze i wytyczaniem racjonalnych torów rozwoju narodowego i państwowego we wszystkich dziedzinach. Dotyczy to zwłaszcza wszystkich ludzi, zajmujących jakiekolwiek stanowiska kierownicze. Bo do załatwiania drobnych aktualjów codziennych winien służyć odpowiednio wyszkolony personel podwładny, a natomiast p. p. prezesi, dyrektorzy, właściciele większych warsztatów pracy i inni kierownicy muszą poczytać sobie za oczywisty obowiązek swego stanowiska zaję-

cie się także ogólnemi sprawami, bez których załatwienia wszelakie „konkretne" szczegóły stają się podobne do gry na loterji lub raczej do hazardowej gry w karty i mogą tylko z dniem każdym pogłębiać ogólne krytyczne położenie Polski pod każdym względem.

Innemi słowy: każdy Polak na kierującem lub choćby tylko na półkierującem stanowisku musi być politykiem i działaczem społecznym w pewnem tego słowa znaczeniu, musi mieć tę świadomość i chęć poświęcenia jakichś mniejwięcej dziesięciu procent swego czasu, zainteresowania i pracy sprawom ogólnym, krajowym, ponadzawodowym. W przeciwnym razie spełnia rolę tylko prostego geszefciarza, różniącego się od innych tylko ilościowo, a nie jakościowo. Np. generalny dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa, który poświęca dwadzieścia sześć godzin na dobę wyłącznie bieżącym interesom tegoż przedsiębiorstwa, a nie ma zrozumienia ani zainteresowania dla spraw ogólnokrajowych, nie różni się od drobnego handlowca starzyzną lub domokrążcy niczem innem w istocie, jak tylko cyfrą sum pieniężnych, które przez jego ręce przechodzą. A często słyszana wymówka z ust zamożnych ziemian, przemysłowócw i kupców, że oni przecież „także pracują dla kraju", pełniąc swe „obowiązki" zawodowe, a więc produkując zboże, czy maszyny, czy buty, czy rozwijając „twórczość handlową"' jest egoistyczną hipokryzją, gdyż w rzeczywistości nie produkują oni tego dla kraju, ale dla prostego zarobku. Niech więc nie zawracają nikomu głowy podobnemi frazesami. Zboże, maszyny i buty mogą sobie swoją drogą fabrykować i na nich zarabiać, ale pewną część swego czasu i zainteresowań mają obowiązek poświęcić podstawowym sprawom Ojczyzny.

Jeżeli każdy chłop i robotnik, ciężko pracujący, znajduje jednak czas i zainteresowanie — coprawda często pod niewłaściwą dyrektywą — dla spraw publicznych i łatwo dostać go wiece i inne zebrania, na których nawet wcale o sprawach zawodowych niema mowy, to tembardziej winni poczuwać się do obowiązku współdziałania w ponadzawodowych sprawach publicznych panowie z wygodnych foteli, na których czekają przed biurami kosztowne auta, aby przewieźć ich każdej chwili do luksusowych mieszkań lub wytwornej restauracji na „skromny", t. j. kilkudziesięciozłotowy posiłek, zakończony obfitym snem na sofce i zamknięciem telefonu, aby nikt im w „nawale zajęć" nie przeszkadzał.

Niezbędną potrzebę zbiorowej pracy publicznej, ponadzawodowej, w planowaniu i wytyczaniu torów życia państwowego z odpowiedniem traktowaniem na serjo odnośnych organizacji, uznają samorzutnie, niemal podświadomie inteligentni obywatele wszystkich państw cywilizowanych, a w szczególności nasi niemieccy i czescy sąsiedzi, nie mówiąc już o Sowietach, gdzie planowanie przeszło już nawet w dziedzinę mańjackiego absurdu. Nie rozumieją i nie uznają tego najważniejszego zadania państwowego jedynie tylko Polacy, którzy z dawien dawna bardzo wygodny obrali sobie system: wypychania pewnych, bardzo nielicznych jednostek na arenę publiczną dla „robienia polityki" i zwalania na nie całego ciężaru „myślenia o kraju" — z pierwszym obowiązkiem oczywiście „wydębiania" w sferach miarodajnych różnych drobiazgowych, doraźnych korzyści dla danych sfer zawodowych — i stuprocentowego, skrajnie egoistycznego poświęcania się codziennym interesom, poza którymi chyba tylko partja brydża lub inna płaska rozrywka istnieje.

I tak się robi Polska „mocarstwowa"! Ale wobec tego trudno dziwić się zastraszającym postępom etatyzmu, radykalizmu, a przedewszystkiem bolszewizmu, trudno dziwić się buszowaniu po Polsce wszelakich „obcych agentur" i przedłużaniu się w nieskończoność kryzysu w różnych dziedzinach. Trudno również dziwić się atakowanej dziś powszechnie pustym krzykiem i wrzaskiem ekspansji żydowskiej w Polsce. Bo jeżeli rdzennie polskie, wartościowe, inteligentne elementy nie wychodzą poza obręb podwórkowego, geszefciarskiego dojutrkowania, nie znoszą dyskusji o kwestjach ogólnych, stronią od spraw publicznych i lekceważą wszystko, co nie leży w wąskim kręgu ich doraźnych zajęć zawodowych, to nic dziwnego, że o losach społeczeństwa polskiego zaczynają decydować inni, że własność prywatna w Polsce się wali i że planową akcję polityczną i gospodarczą prowadzić zaczynają... choćby Żydzi!

Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, ale nie ma potem żadnego prawa narzekać na bezsenność i niewygodne łoże.

Związek Polskiej Myśli Państwowej wraz z naszem wydawnictwem od lat już walczy o wysunięcie na porządek dzienny jakiejś planowej, należycie skoordynawanej i na serjo traktowanej akcji planowania i wytyczania torów w różnych dziedzinach przez inteligentne sfery prywatne społeczeństwa polskiego. Dajemy wszelki możliwy przykład w tym kierunku piórem, słowem i — gdzie tylko można — także i interwencyjnym czynem, poczynając od spraw moralno-religijnych, a kończąc na aktywizowaniu

zainteresowania naszych rodaków w sprawach zagranicznych. I nie możemy skarżyć się na brak pewnych sukcesów, coprawda z ciężkim trudem i mozołem, a nieraz i wśród gradu kamieni i oszczerstw osiąganych. Ale wciąż jeszcze spotykamy się z tępym, bezmyślnym uporem właśnie ze strony sfer inteligentnych które — jeśli zgłębić rzecz do samego sedna — nie cierpnią nas nieraz i rzucają nam kłody pod nogi, albo traktują nas z lekceważeniem, przedewszystkiem właśnie dlatego, że jesteśmy im niewygodni z ustawicznem wzywaniem do pełnienia obowiązków publicznych, przeszkadzając im w stuprocentowem, geszefciarskiem, jednostronnem, egoistycznem zajmowaniu się sprawami wyłącznie zawodowemi. Bo jak dawna szlachta polska uważała ojczyznę i państwo jako „zbiór praw i przywilejów, szlacheckiemu stanowi przysługujących", tak dzisiejsze inteligenckie sfery zawodowe uważają Polskę w gruncie rzeczy także za „przywilej zajmowania się wyłącznie prywatnymi interesami zawodowymi". Nic więc dziwnego — powtarzamy — że ogólnemi, a więc najważniejszemi, decydującemi sprawami polskiego społeczeństwa i jego przyszłych losów zajmują się czynniki, które więcej mają zrozumienia dla planowej akcji, a więc Żydzi, masoni oraz demagodzy wszelakiego rodzaju. A polska myśl polityczno-społeczno-gospodarcza nie ma dotąd ani jednej — powtarzamy z naciskiem: ani jednej — drogi wytyczonej. Niemasz jej ani w sprawach ustrojowych, ani rolniczych, ani w przemysłowo-handlowych, ani mniejszościowych (zwłaszcza w nieszczęsnej i chwiejnej od wieków kwestji ukraińskiej), ani zagranicznych i to nawet tych, które odnoszą się do jakiegoś racjonalnego nastawienia względem naszych najbliższych sąsiadów. Natomiast mamy do czynienia wciąż z tłumem ludzi zaaferowanych dorywczemi aktualjami, goniących bezplanowo tu i tam za t. zw. „codziennym kawałkiem chleba", potykających się wciąż po drodze, narzekających na rząd, czasy, Polskę i świat cały, a nie wiedzących, czego właściwie chcą i do czego mają dążyć, oprócz do chwycenia gdzieś kupki grosza (czasem nawet dobrej kupy złotych) i wymigania się od podatków.

Taki stan rzeczy dalej trwać nie może. To też z prawdziwą satysfakcją słyszymy o stworzeniu i rozpoczęciu wstępnych prac Biura Planowania, jako osobnej i dość odrębnej komórki, szeroko rozbudowanej, przy organizacji „Obozu Zjednoczenia Narodowego". Oczywiście, że i na tę inicjatywę — jak zresztą na każdą nową rzecz w Polsce — rzuci się jałowa krytyka dojutrkowiczów, malkontentów i politykierów różnego autoramentu, a sfery t. zw.

„poważne", których mentalność określiliśmy powyżej, odniosą się może z pobłażliwem lekceważeniem do tej akcji. Ale my w każdym razie — z pod znaku Naszej Przyszłości — witamy z zasadniczą przychylnością powstanie instytucji, w której ponad geszefciarskiemi aktualjami i zawodowemi postękiwaniami, będzie nareszcie można mówić o... Polsce. I nietylko mówić, ale na podstawie odpowiednich materjałów, doświadczenia i przemyślenia będzie można spokojnie, bez gwałtu i pośpiechu i bez geszefciarskiego egoizmu budować myśl i politykę polską w różnych kierunkach i wytyczać tory. Bo wiadomo, że najlepiej skonstruowana lokomotywa nie ruszy z miejsca w braku toru.

Oczywiście nie możemy odrazu wpadać w entuzjazm, bo wszystko zależeć będzie ostatecznie od wykonaia dobrego zamiaru. Ale już sama myśl wszechstronnego badania, ujmowania i podawania do użytku rządu i społeczeństwa zasadniczych wytycznych polskiej myśli i pracy narodowej i państwowej jest nam sympatyczna i więcej: uważamy tę inicjatywę — którą zresztą w zakresie naszej możliwości od lat staramy się realizować — za niezbędną dla racjonalnego rozwoju i egzystencji państwa.

I niechże nikomu z naszych czytelników, przyjaciół lub przeciwników nie przejdzie przez myśl posądzanie nas o jakiś oportunizm wobec zamierzeń Obozu Zjednoczenia Narodowego o chęć kłaniania się komukolwiek. Już kto jak kto, ale my oportunizmu wobec nikogo nie uprawiamy. Kim jesteśmy, co reprezentujemy i jakie są już w wielu dziedzinach nasze tezy programowe i metody działania, o tem czytelnicy nasi mieli już aż nadto okazję z długiej serji tomów Naszej Przyszłości przekonać się dostatecznie. Spotykają nas nieraz zarzuty, że zbyt mocno i bezwzględnie walimy toporem. Z linji naszej nie ustąpimy i nie mamy do tego żadnych powodów. Swoje zawsze zrobimy. Ale obok tego uważamy sobie za obywatelski obowiązek odnieść się życzliwie do każdej, w założeniach swych użytecznej inicjatywy, a nawet — na wyraźne zaproszenie — wziąć w niej udział i starać się z siebie coś dla niej wydobyć. Zwłaszcza gdy chodzi o wykuwanie praktycznych tez i kierunków polskiej racji stanu.

Dlaczego Czesi nienawidzą Polski i Polaków?

Mimo pozornej demokracji i rzekomej swobody wyznania w Czecho-Słowacji niepodobna nie zauważyć w tamtejszem życiu społecznem, politycznem i intelektualnem slnego ruchu antykatolickiego, przybierającego częstokroć jaskrawe formy wprost szatańskiej nienawiści i walki antyreligijnej. Pod tym względem są Czesi wzorowymi uczniami sowieckiej Moskwy.

Ruch ten jest wdoczny zwłaszcza w szkolnictwie, powszechnem i średniem oraz w uniwersyteckiem, gdzie wśród nauczycielstwa przeważają żywioły masońskie lub komunistyczne, a więc stanowczo wrogie katolicyzmowi. Szerzy go skutecznie czeski „Sokół“ oraz liczne stowarzyszenia młodzieżowe o charakterze lewicowym, szerzą go również liczne sekty religijne, popierane tak „moralnie“, jak i — co ważniejsze — materjalnie w swej działalności przez władze i rząd czesko-słowacki, zwłaszcza na terenie katolickiej Słowaczyzny.

Ów kierunek antykatolicki, zarysowujący się coraz bardziej w życiu społecznem, politycznem i intelektualnem Czecho-Słowacji, datuje się jeszcze od czasów przedwojennych. Już bowiem w roku 1905 prof. Masaryk, późniejszy prezydent czesko-słowacki, rzucił hasło wśród społeczeństwa czeskiego, że za swój najważniejszy obowiązek uważa bezwarunkowe i bezpardonowe zwalczanie „klerykalizmu“, walka ta zaś jest równoznaczną ze zwalczaniem Kościoła katolickiego. Wyznanie to powtórzył w roku 1906, podkreślając jeszcze raz dobitnie, że chodzi tutaj o zwalczanie i obezwładnienie katolicyzmu, który uważa za największego wroga ludzkości wogóle. Czechy i Czesi mają iść w pierwszych szeregach tej walki, opartej jeszcze i na „historji“ Czech husyckich czy pohusyckich, byleby się tylko spełniło rzucone przez Masaryka hasło: *„Rzym musi być sądzony i zasądzony!“*. Podobnie zachęca Czechów do walki z Kościołem inne

przez niego rzucone hasło: *„Nie zasłaniajmy się hasłem klerykalizmu, albowiem to, o co chodzi, jest katolicyzm!"*.

Nienawiść Masaryka do katolicyzmu sięgała tak daleko, że w roku 1910 oświadczył, iż *większą wagę przypisuje walce z katolicyzmem i jego upokorzeniu na ziemiach czeskich, aniżeli walce o samodzielność narodową i polityczną narodu czeskiego, którą uważał wtedy raczej za utopię*, aniżeli za możliwą do osiągnięcia rzeczywistość. Czeski naród uważał on za tak małowartościowy pod względem moralnym, ideowym i narodowym, że wyraził się pewnego razu: „My, Czesi, nie możemy nawet marzyć o niepodległości. Nie wierzę w to. A gdybyśmy kiedyś jakimś cudem uzyskali niezależność, to dzicy ludzie zjeżdżaliby się do nas z ciemnej Afryki bawić i delektować się naszemi praktykami państwowemi!".

Wychodząca na Śląsku pod zaborem czeskim „Obrana Slezska" nie raz wyrzucała to osobliwe „Credo" Masarykowi, gdy już był prezydentem, choć miała rację tylko pod tym względem, że Masaryk był pierwszym prezydentem państwa czeskiego, w którego istnienie i byt sam nie wierzył. Bo zresztą miał i ma Masaryk rację odnośnie do tych... praktyk państwowych czeskich!

Nienawiść Masaryka do Kościoła była przed przewrotem tak wielka, iż np. były ksiądz katolicki, apostata czeski Dr. Loskot, jako przywódca czeskich wolnomyślicieli oświadczył pewnego razu, że „klerykalizm" stanowi dla narodu czeskiego o wiele większe niebezpieczeństwo, aniżeli Niemcy i dlatego też uważa, iż o wiele więcej korzystnem jest zwalczać katolicyzm, aniżeli Niemców!

Te słowa przywódcy czeskich wolnomyślicieli tak zakorzenili w narodzie czeskim i u jego polityków, że kiedy w Radzie państwa austrjackiej postawiony został wniosek na rzecz urządzenia i stworzenia drugiego czeskiego uniwersytetu na Morawach, to „postępowi" posłowie, prof. Dr. Masaryk i Dr. Drtina, oddali swe głosy *przeciwko* stworzeniu tego uniwersytetu! Demonstracyjnie natomiast oddali swe głosy za wnioskiem głośnego germanizatora, wroga katolicyzmu Wolfa, rzucającego hasło: „Los von Rom!" — na rzecz stworzenia wszechniemieckiej akademji w Pradze!

Obaj wykazali, że bardziej nienawidzili Rzymu, Kościoła i wszystkiego, co z nimi się łączy, niż kochali swój własny naród czeski!

Nie inaczej zapatrywano się na kwestję narodową w obozie soc. demokratów czeskich. „„Narodni Listy" (16 kwietnia 1897) pisały, że soc. dem. poseł Hybes na publicznym wiecu tak oto wyraził się 14 kwietnia 1897 w Bernie: *„Państwowe prawo czeskie jest tylko gołe prawo — gliny!"*. Inny wybitny działacz z obozu tego powiedział pewnego razu, że dla czeskiego narodu ma daleko większe znaczenie posiadanie Trjestu przez monarchię austro-węgierską, aniżeli marzenie o niepodległości czeskiej. Zdaniem jego bowiem nieposiadanie Trjestu zagrażałoby Czechom pod względem gospodarczym śmiercią głodową. Młody docent Dr. Benesz napisał wtedy pracę naukową o koniecznościach Austrji ze względów gospodarczych i politycznych! Myślą przewodnią była dla niego teza Palacky'ego: *„Gdyby nie było Austrji, byłoby koniecznem ją stworzyć ze względów gospodarczych i politycznych!"*. Stronnictwa czeskie do wojny światowej prześcigały się w wyrażaniach lojalności względem Austrji, a czeskie społeczeństwo mobilizowały jedynie do walki z katolicyzmem.

Zmiana orjentacji nastąpiła u Masaryka dopiero w okresie wojny światowej, podczas której wyłoniła się u niego (??) koncepcja stworzenia niezależnego państwa czesko-słowackiego. Pod wpływem masonerji zagranicznej zdecydował się bowiem rozciągnąć swą walkę na teren wybitnie polityczny, występując teraz już zarówno przeciwko Austrji, jak i katolickiej dynastji Habsburgów.

Po takich preludjach nie trudnem było przewidywać, że po utworzeniu republiki czesko-słowackiej ruch antykatolicki wzrośnie jeszcze bardziej.

W związku z tem wszystkiem uderza charakterystyczne zjawisko, że mianowicie stosunek republiki czesko-słowackiej do niepodległej Polski był i będzie wyraźnie nieprzyjazny i nieprzychylny. Po rządach Masaryka i jego obozu nie można zresztą było czegoś innego się spodziewać.

Zjawisko to można bowiem wytłumaczyć sobie przedewszystkiem tem, że Polska jest w oczach antyreligijnych Czechów państwem aż zanadto katolickiem! Ta walka z katolicyzmem w domu zupełnie zaślepiła oczy czeskim politykom podwórkowym, którzy swego czasu dali pierwszeństwo walce antyreligijnej przed walką o prawa polityczne swego narodu i którzy rezygnowali raczej całkowicie z samodzielności narodowej, byleby się tem lepiej czy prędzej rozrachować mogli z mniemanym „większym wrogiem" — katolicyzmem. Do tej antypolskiej nie-

nawiści mocno oczywiście przyczynił się i fakt, że niepodległa Polska odrazu pokrzyżowała plany t. zw. panslawistom czeskim, tem, iż odcięła Czecho-Słowację od Rosji. Lecz, podkreślam, przedewszystkiem katolicki charakter państwa polskiego jest niechętnie widziany u takich czeskich polityków, jak Masaryk, Benesz, Klofacz i Kramarz, twórców czeskiej polityki antypolskiej w Czecho-Słowacji i za granicą!

Jak wyżej wspomniano, walka z katolicyzmem na terenie Czecho-Słowacji przybrała jaskrawe formy na Słowaczyźnie, gdzie tamtejsza ludność słowacka — nie „czeskosłowacka" — jest szczerze przywiązana do swej ojczystej wiary katolickiej. Czescy politycy bowiem uważali i uważają, że ruch autonomistyczny Słowaków z ks. Hlinką na czele czerpie główne swe siły i źródło w katolicyźmie i stąd to powstało kokietowanie nielicznych zresztą ewangelików słowackich, czego dowodem są także i wynurzenia głównego organu husyckiego „Kostnickich Jiskier" (z dnia 2 lutego 1923 roku), w których jeden z polityków czeskich oświadczył, że istnieją dwa rodzaje Słowaków: *„Słowacy ewangelicy, którzy tworzą z nami razem jeden naród, oraz katolicy, którzy są dla nas obcy i dlatego skłaniają się sympatjami do Węgrów!*

Według owej czeskiej definicji doprawdy bardzo nieświetnie przedstawia się przyszłość „czeskosłowackiego" narodu, gdy zważy się, że ewangelicy stanowią wśród Słowaków nieliczną garstkę, nawet niecałe 10% ludności!

Ten sam organ w Nr. 39 z roku 1925 zamieścił artykuł Klofacza, w którym autor przechwala się, że opuścił Kościół z pobudek politycznych, uważając katolicyzm za wroga narodu czeskiego. Równocześnie twierdzi, że ewangelicy słowaccy tworzą jedność z narodem czeskim, katolicy słowaccy zaś są wrogami republiki czecho-słowackiej. I w związku z tem zaleca propagować na Słowaczyźnie t. zw. sektę czechosłowacką oraz popierać ewangelicyzm a zwalczać bez litości katolicyzm, jako sprzeczny z interesem republiki czesko-słowackiej.

Zwalczanie katolicyzmu na Słowaczyźnie i dzie w parze równocześnie z planem czesskim zorganizowanego zwalczania Kościoła jednocześnie i w Polsce! „Kostnickie Iskry", również wypowiedziały się w tym samym czasie za zwalczaniem katolicyzmu w Polsce przez szerzenie w niej sekciarstwa. Projekt ten jednak rychło upadł, gdy wysłany do Polski jeden z wybitnych przedstawicieli czesko-słowackiego sekciarstwa został przez władze polskie jako zwykły oszust za malwersacje pieniężne aresztowa-

ny. Był to niejaki wysłannik czeskiego „kościoła narodowego", t. zw. „czeskosłowackiego", Zacharjasiewicz. Jego wyprawie do Polski towarzyszyła wtedy wielka reklama w prasie Benesza, po jego skompromitowaniu zaś u Polaków prasa ta zamilkła i odtąd sekciarstwo szerzy się za czeskie pieniądze przeważnie tylko wśród Ukraińców!

Tymczasem wskutek gruntownej zmiany sytuacji międzynarodowej na niekorzyść Czech, fakt ten był przyczyną, że Praga z groźnego wilka stała się barankiem. Przynajmniej próbuje udawać baranka w oczach opinji zagranicznej. I tak po formalnem wypędzeniu papieskiego Nucjusza Marmaggiego z Pragi nawiązuje po paru latach kontakt z Watykanem i zawiera z nim układ, t. zw. modus vivendi. Na pozór tylko. „Narodni Osvobozeni" (Nr. 126 z 30.V. 37), jako organ czeskich legionarzy, oświadcza w artykule „Co należy powiedzieć" prawie w tym momencie, kiedy zagranica wstrząśniętą jest antykościelnemi wypadkami w Niemczech, że legjonarze nie zrezygnowali z hasła zupełnej separacji państwa od Kościoła, że układ modus vivendi jest tylko tymczasowy i t. d. Słowem, Praga wyraża przez usta to jednego, to drugiego swego dygnitarza pozorną gotowość zbliżenia się do Polski, do świętej zgody, do porozumienia — i sam Pan Bóg najlepiej wie, do czego jeszcze „nie byliby gotowi" Czesi pod młotem sytuacji międzynarodowej — lecz i w tym wypadku tylko kosztem Polaków pod zaborem czeskim, czyli kosztem Polski.

Jakkolwiek jednak ułożyłaby się sytuacja międzynarodowa, należy dobrze pamiętać o tem, że nawet gdyby Czesi usunęli przez najróżniejsze ustępstwa wszelkie *rzeczowe* powody i przyczyny obecnego zatargu czesko-polskiego — a co jest nie do pomyślenia ze stanowiska czeskiego w myśl częstych oświadczeń odpowiedzialnych czynników czeskich — to jeszcze i wtedy pozostałaby *najważniejsza* przyczyna niezgody polsko-czeskiej: *psychologiczny moment, że czeska dusza husycka, nienawidząca wszystkiego, co katolickie, nigdy szczerego układu nie zawrze z katolicką Polską*. Chyba, żeby ulegając Czechom, Polacy zechcieli zrezygnować z wiary ojców i zechcieli razem z nimi zwalczać Rzym. A to trudno imputować tak szczerze do Kościoła przywiązanemu narodowi, jakim byli, są i zpewnością nazawsze będą Polacy. Mimo, że Czesi deklamują o „słowianiźmie" i „słowiańskiem" poczuciu, to jednak poczucie husyckie jest u nich największe i najsilniejsze. Husytyzm mają Czesi tak we krwi, że pewnego razu ks. Hlinka w stosunku nawet do czeskich księży katolickich publicznie oświadczył: *„Tylko potrząsnąć*

takim czeskim księdzem, a odrazu z jego sutanny wyskoczy husyta!". Niestałość charakteru, zmiana poglądów ideowych na wręcz odwrotne przekonania i „idee", niedochowania wiary, łamanie umów, uważanie ich za świstek papieru — to wszystko są znane, stare cechy czeskiego narodu i jego przywódców. Co dziś białe, jutro może być czarne u Czechów, wyznających „zasady" zawsze z tej strony, z której wiatr wieje. W razie jakiego bądź bratania się z nimi inny naród może być przez Czechów tylko lekceważony i często przez nich i demoralizowany, na co można było słyszeć wiele skarg np. już i ze strony sojuszniczej z Czechami Jugosławji na łamach prasy jugosłowiańskiej. Szkodliwi są Czesi więc i dla swoich sojuszników, a tem więcej dla sąsiadów, z którymi z powodu swoich zawsze przewrotnych, mętnych i zamęt siejących własności „narodowych" ani z umowami, ani bez nich żyć w zgodzie nie potrafią.

Pewnego razu husyckie „Kostnické Iiskry" podkreśliły, że dla nich każdy wróg katolicyzmu jest mile widzianym sojusznikiem. Masonerja, wolnomyśliciele, prawosławie, różne sekty niechaj sobie podają ręce wraz z Czechami, byle tylko „hydrę" katolicką u siebie obalić i całkowicie obezwładnić!

Czy nie przypomina to rzucone tak szczerze czeskie hasło każdemu Polakowi ów fakt, iż Czesi gotowi są i przeciwko Polsce łączyć się z każdym jej wrogiem? Niechaj nazywa się ten wróg Litwinem, czy Rosjaninem o kolorze narodowym lub z gwiazdą sowiecką i t. d. Stosują więc i w tej kwestji Czesi taką samą „zasadę", jak do walki z katolicyzmem. A to dowodzi tylko o prawdziwości naszego twierdzenia, że Czesi w Polakach i w Polsce widzą w pierwszym rzędzie naród katolicki i państwo katolickie, co drażniło, drażni ich dotąd i będzie drażniło w dalszym ciągu, jak byka czerwone sukno.

Najsmutniejszym zaś w tej sprawie jest fakt, że Polska nawet na czeskich katolików liczyć nie może. Czeskie katolickie stronnictwo ks. Szramka najbardziej gorliwie popiera sojusz czesko-sowiecki. Rząd, w którym zasiada ks. Szramek, nawiązuje „kulturalne" stosunki z Sowietami. Czołowy słup tego stronnictwa, prałat Świetlik, pisuje „entuzjastyczne" artykuły, jak to tow. Stalin zaczyna budować Rosję rzekomo na podstawie Dziesięciu Bożych przykazań!! Słowacki organ tegoż stronnictwa „Ludová Politika" publikuje artykuł — ot, jak demoralizuje Słowaków pod hasłem czesko-katolickiej ludowej polityki! — że jedyne państwo na świecie, które stosuje przykazania Boże w bu-

dowaniu ustroju państwa, to — proszę nie śmiać się, bo należałoby raczej zapłakać! — to... sowiecka Rosja!! Autentyczne!! Aby nawet to stronnictwo nie pozostało w tyle za czeskimi komunistami, którzy w swoich organach (Slovenské Zvesti), lub za nar. socjalistami czeskimi, którzy w „Czeskiem Słowie“ zapowiadają nowy rozbiór Polski, to działacz tego stronnictwa, Franciszek Hanzelka, swego czasu nawet orderem Polski odznaczony, wykazuje w „Nasincu“, że Polska nie uprawiała, ani nie uprawia dobrej polityki. Polska bowiem, jego zdaniem, winna zrezygnować z Wilna, zrezygnować z Małopolski Wschodniej, zrezygnować z Cieszyńskiego i... zadowolić się Kongresówką, z Krakowem i Poznaniem. A o ileby Polska zechciała być większą, to według wielkodusznej rady pana Hanzelki winna by się rzucić na Niemców i zabrać im, coby się tylko zabrać dało. Przyczem oczywiście Czesi stanowiliby „honorową straż“ gapiów i widzów w „niczem niezainteresowanych“!.

Wtedy dopiero i na takich warunkach Hanzelki Polacy prowadziliby „mądrą“ politykę, no i uzyskaliby „przyjaźń“ czeską. „Przyjaźń“ doprawdy nieco za drogo kupioną! To jest zdanie czeskiego czołowego katolika, pracownika oświatowo-kulturalnego, rzekomo życzliwie do Polski się odnoszącego i przez Polskę — odznaczonego!! Jeśli więc czescy katolicy okazują tylko taką oto przyjaźń wobec Polski, mimowoli nasuwa się pytanie: *Jak odnoszą się do niej ci drudzy, którzy jawnie deklamują, piszą, a nawet i mapy rysują w „Czeskim Słowie“ o „nowym podziale Polski??*

Godzić zatem Polaków z Czechami byłoby to samo, co godzić wodę z ogniem, choć dobrze wiemy, że jedno drugiego nie znosi i nigdy nie może być z sobą w zgodzie.

Czesi wskutek nieprzyjemnej dla nich sytuacji międzynarodowej prowadzą obecnie walkę z Rzymem, z Kościołem, już nie w tak ordynarny sposób, jak działo się to po przewrocie, kiedy np. na Słowaczyźnie w niektórych miejscowościach jeszcze i przy wyborze miejscowego kominiarza wymagało się świadectwa przynależności do jakiejś sekty protestanckiej. Prowadzą ją ostrożnie, sprytnie, chytrze, wyczekując do ostrzejszej walki odpowiedniego momentu i lepszych dla nich czasów. Faktem jest, że zaraz po przewrocie walkę antykatolicką przenieśli oni i na teren walki z Polską, jako przeciwko państwu arcykatolickiemu, w swej polityce wewnętrznej i zagranicznej. A to jest po czeskiej stronie najważniejsza przyczyna niezgody i zatargu czesko-polskiego, który oczywiście też tylko czas może

rozstrzygnąć, a to jedynie i wyłącznie kosztem — husyckich Czech. Inaczej byłoby bardzo źle! Od czego niechaj Pan Bóg uchronić raczy nietylko Polskę, lecz i sąsiadujące z nią narody katolickie! Od husytyzmu bowiem jeden tylko maleńki krok prowadzi w praktyce do bolszewizmu. Powtórzyłoby się to, co było przed wojną: Czesi ponownie wszczęliby wojnę przeciw Rzymowi i wyrzekliby się i swej czeskiej narodowości, gdyby widzieli, że gwiazda sowiecka tryumfuje nad Europą, byleby tylko z czerwoną Moskwą mogli się pastwić na katolikach u siebie i u swoich sąsiadów. Ponownie wznoszonoby hasło „Rzym musi być sądzony i zasądzony!“ Poprzednio „sądzili“ Czesi Rzym jako husyci, obecnie już sądziliby go jako bolszewicy, a ich obecni, najbardziej „patrjotycznie“ nastrojeni dygnitarze byliby pierwszymi i największymi bolszewikami. W czasie wojny światowej politycy czescy obiecali Moskwie przejście całego narodu czeskiego na prawosławie na wypadek, gdy uda się carskiej armji wmaszerować do Pragi. Dlaczegóżby dziś nie mieli stać się bolszewikami, gdyby udało się armji sowieckiej przedrzeć się do Polski i na Zachód?

Franciszek Unger

List otwarty »Konfederacji Młodych«

Otrzymaliśmy następujący list od założycieli stowarzyszenia „Konfederacji Młodych“, złożonego częściowo z akademików, który bez żadnych komentarzy zamieszczamy.

Do Szanownej Redakcji
miesięcznika „*Nasza Przyszłość*“
w Warszawie.

Wysyłając równocześnie prostujące komunikaty do różnych wydawnictw, prosimy uprzejmie Szanowną Redakcję „Naszej Przyszłości“ o zamieszczenie następującego naszego oświadczenia.

Protestujemy niniejszem publicznie przeciw poniżającej nas opinji redakcyj pewnych pism polskich i ukraińskich, które samodzielną naszą inicjatywę i zamierzenia przypisały jakiejś rzekomej akcji wydawcy Naszej Przyszłości, p. dra Jana Bobrzyńskiego. Nie chcemy grzeszyć zarozumiałością, ale słusznie oburzać nas musi zdawkowa szablonowość reporterów redakcyjnych, którzy, dowiadując się powierzchownie o naszych zamierzeniach, potraktowali nas jako nic, a natomiast inicjatywę naszą w istocie całkiem samodzielną, przerzucili bezmyślnie na karb działalności p. dra Bobrzyńskiego.

Wynikły stąd absurdalne plotki, powtarzane z bezmyślną złośliwością przez niektóre organy prasowe polskie i ukraińskie, jakobyśmy, inicjatorzy i założyciele „Konfederacji Młodych“, byli jakimiś bezwolnymi narzędziami w ręku p. dra Jana Bobrzyńskiego, werbowanymi przez niego dla jego politycznych celów zapomocą wieczorków tańcujących, patefonów, wina i t. p.

Przeciw takiemu traktowaniu naszej własnej idei przez powierzchowne a złośliwe reporterstwo dziennikarskie, żądne sensacji za wszelką cenę i poniżające w danym wypadku indywidualizm polskiej, ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej młodzieży, dyskutującej nad skoncetrowaniem się „Konfederacji Młodych“,

stanowczo protestujemy. Młodzież — w każdym razie ta, która skupiać się zaczyna w naszem zrzeszeniu — nie jest bezwolnem narzędziem jakichkolwiek starszych polityków. Inicjatywę współdziałania czterech spokrewnionych narodów, którym geograficzne położenie, rozwój historyczny i grożące w przyszłości niebezpieczeństwo narzucają analogiczną rację stanu, podjęliśmy samodzielnie, nie znając zupełnie p. red. Bobrzyńskiego. Prawda, że niektórzy z nas czytywali okazyjnie jego wydawnictwa i stąd jest rzeczą naturalną, że w pewnych trudnych kwestjach zaczęliśmy go z własnej naszej inicjatywy odwiedzać i zapytywać o opinję w pewnych, szczególnie trudnych problemach.

Odpowiedział na nasze pytania, odmawiając jednak wszelkiego bezpośredniego współdziałania w naszej akcji, gdyż — jak stwierdził stanowczo — potępia wszelkie „łapiduszostwo" młodzieży. Sympatyzuje z nami, gdyż nie uprawiamy hałaśliwej polityki, nie wybijamy nikomu szyb, ale zajmujemy się poważnem zagadnieniem, z którego ogromu i wielkich trudności zdajemy sobie dobrze sprawę. Ale nie on nas „aktywizuje", jak głoszą to powierzchowne, zdawkowe, żądne sensacji opinje dziennikarskich reporterów. Nie brał udziału w koleżeńskiem zebraniu towarzyskiem, które urządziliśmy dwa miesiące temu dla osobistego zbliżenia się młodzieży wspomnianych narodów. Odmówił stanowczo podpisu swego na naszym statucie, który wniesiemy w najbliższym czasie do zatwierdzenia przez Władze państwowe.

Wszelkie więc kombinacje repoterskie na temat „aktywizacji" młodzieży przez p. dra Bobrzyńskiego są absolutną nieprawdą.

Natomiast muszą krytycy naszej samorzutnej akcji otworzyć szeroko oczy na nieprawdopodobną dla nich rzeczywistość, że w młodszem pokoleniu wymienionych czterech narodów rozpoczął się ruch, zmierzający do pewnego celowego zbliżenia młodszej ich generacji — o ile starsza, nazbyt rozpolitykowana, tego nie zechce, czy nie zdoła uczynić. Pójdziemy śmiało naprzód w imię prawdy dziejowej i dobrze wyczutej racji stanu bratnich ludów, które wszystkie widzieć chcemy wolnymi, ale w pewnym stopniu sprzężonymi ze sobą dla konieczności skutecznego odporu niebezpieczeństwa, grożącego tym narodom wspólnie z różnych stron, a zwłaszcza ze strony nie sparaliżowanych jeszcze w dostateczny sposób kleszczy rosyjsko-niemieckich. Musimy również energiczną podjąć walkę z komunizmem i wpływami różnych innych „obcych agentur", które — zdaniem naszem —

bardzo niedostatecznie są wśród czterech wymienionych narodów dotąd zwalczane.

Ale czyż z powodu podjęcia tych oczywistych zadań historycznych mamy być posądzeni o uleganie jakimkolwiek wpływom postronnym? Czy mamy tolerować, że reporterzy dziennikarscy chcą potraktować nas jak bezmyślne stado młodych politykierów takiego czy innego autoramentu i wtłaczać nas gwałtem w szufladkę jakiejś utartej partji politycznej lub w kombinacje jakiegoś starszego wiekiem polityka? Czyż my, młodzi, już nic innego nie potrafimy, jak tylko służyć za narzędzie rozgrywek dziennikarskich i partyjnych? A z drugiej strony, czy p. dr. Bobrzyński — o ile mieliśmy okazję poznać jego charakter i usposobienie — musi koniecznie dla podparcia swj własnej akcji publicznej uprawiać tak samo łapiduszostwo wśród młodzieży, jak to czynią różni spryciarze polityczni?

Ani jedno, ani drugie nie jest prawdą, ale tylko czczym wymysłem repoterskim. My, młodzi, zrobimy swoje, bez względu na to, czy się to komu podoba, czy nie podoba. A chociaż wiemy, że jako młodzi wiele jeszcze poznać i nauczyć się musimy, to jednak zdajemy sobie już dziś doskonale sprawę z tego, czego chcemy i co — bez zbędnej tromtadracji i politykierji—może położyć stopniwo podwaliny pod powstanie wielkiej, sprzężonej ze sobą potęgi wolnych i należycie uświadomionych narodów, pełniących w odpowiednim zespole mocarstwowym szczytną a niezbędną rolę twierdzy chrześcijaństwa i cywilizacji wobec mnożących się wrogich zakusów wschodniego i zachodniego destruktywnego materjalizmu i wywrotu.

Z poważaniem

Za Komitet Organizacyjny
„Konfederacji Młodych"

Prezes: *Tadeusz Downarowicz.*

Generalny Sekretarz: *Aleksander Stachniak.*